

Powiat



Nr 7-8 (161-162), Lipiec-Sierpień 2014
Rok XIV * ISSN 1730-7686

SŁUPSKI

Powiat ma już 15 lat
Jak to jest z tymi pieniędzmi?
Wraca moda na zdrowie
Nadjeździorna wieś przemija
Polska racja stanu?
Wielokulturowa Kobylnica
Klasa umarła, ale żywa
Czym żyje Kraków
Wieś Tworząca
Kolekcjoner Słupski



POWIATOWE ŚWIĘTO PŁONÓW

KOBYLNICZA, SIERPIEŃ 2014



Drodzy Czytelnicy!

W ostatnią niedzielę sierpnia świętowaliśmy w Kobylnicy powiatowe dożynki. Żniwa zaczęły się w tym roku szybciej, prędzej się też, mimo przekropnej w ostatniej dekadzie sierpnia pogody, zakończyły. Można było dokonać podsumowania tegorocznych zbiorów zbóż i tradycyjnie po-

dziękować rolnikom za ich pracę.

Osadzone głęboko w polskiej tradycji dożynki są pięknym zwyczajem. W naszym rolniczym powiecie od lat przywiązujemy do nich dużą wagę. Staramy się dostrzegać i nagradzać rolników, ponadto organizując doroczną imprezę dajemy nie tylko im możliwość do zabawy i przyjemnego odpoczynku.

Muszę podkreślić, że Powiatowe Święto Plonów zawsze gromadzi wielu mieszkańców gmin, niezależnie w której gminie dożynki są organizowane. Tak było też w Kobylnicy, gdzie na przepięknie przygotowanym terenie przy Gminnym Ośrodku Kultury i Promocji zebrały się tłumy uczestników tego rolniczego święta.

Dzisiejsza wieś jest zupełnie inna od tej którą pamiętam z dzieciństwa. Jest bardziej nowoczesna, usprzętowiona, korzysta z Internetu i innych nowoczesnych urządzeń komunikacji. Zupełnie inne mamy też rolnictwo. Jeszcze nie tak dawne małe i średnie gospodarstwa rolne zastąpiły gospodarstwa duże - kilkudziesięciu i kilkusethektarowe, dobrze usprzętowane.

Rolnicze pola kulturą upraw nie odbiegają już od pól niemieckich czy holenderskich. Z każdym rokiem, od wstąpienia Polski do Unii Europejskiej, obserwuje się coraz mniej nieużytków. Rolnicze dopłaty powodują, że tak jak dawniej, znowu wykorzystywany jest prawie każdy skrawek ziemi. To dobrze wróży na przyszłość. Po latach zastoju przyszedł już też czas na melioracje...

Dożynki to świetna okazja by spojrzeć w przeszłość i... w przyszłość, bo rolnictwo i wieś rozwijają się nieustannie. Rolnictwo nie jest pozbawione jednak problemów, choćby tych związanych z korzystnym zbytem ziarna. W tym roku zboża obrodziły w całym kraju, więc ten kłopot może się nasilić.

Dlatego tym bardziej chciałbym podkreślić, że zawsze z dużą satysfakcją podczas dożynek nagradzam najlepszych rolników naszą powiatową statuetką „Bursztynowego Kłosa” oraz przyznawanymi przez Ministra Rolnictwa i Rozwoju Wsi odznakami honorowymi „Zasłużony dla rolnictwa”.

W tym roku statuetką wyróżniliśmy dziewięciu rolników, a honorową odznaką „Zasłużony dla rolnictwa” - trzynaście osób. Nie tylko im, ale również pozostałym rolnikom należą się duże słowa uznania i podziękowania za ich pracę, z efektów której możemy wszyscy korzystać.

Sławomir Ziemianowicz
Starosta Słupski

W numerze:

- Rowy mają nowoczesną oczyszczalnię4
- Powiat ma już 15 lat4
- Chcą się wspólnie uczyć5
- Obiecująca współpraca5
- Jak to jest z tymi pieniędzmi?6
- Wraca moda na zdrowie7
- Powiat energetyczny8
- Czy będzie zgoda? 10
- Spaliny i dymy są szkodliwe 11
- Wracają nie tylko bociany 12
- Moja nadjeziorna wieś przemija 13
- Pobliski wiatrak już nie kręci 14
- Nasz czas 16
- Polska racja stanu? 18
- „Ja - stoję na rynku nienajęty” 20
- Malarka znad jeziora Gardno 23
- Wieś kulturą darząca 24
- Katalog nie jest głupi... 26
- Wielokulturowa Kobylnica 28
- Klasa umarła, ale żywa 29
- Czym żyje Kraków? 30
- Bracia Gierymscy - wielcy malarze 32
- W miastach północnego Maroka 34
- Turystyczne (prawie) ostatki 36
- Spełnia się marzenie twórcy legendarnej grupy muzycznej 37
- Moje urodziny w historii żeglugi 38

„POWIAT SŁUPSKI” - Biuletyn Informacyjny

Wydawca: Starostwo Powiatowe w Słupsku. Redaguje: **Zbigniew Babiarz-Zych**. Adres redakcji: Wydział Polityki Społecznej, Starostwo Powiatowe, 76-200 Słupsk, ul. Szarych Szeregów 14, tel. 59 841 85 53, faks 59 842 71 11; e-mail: zych@powiat.slupsk.pl; Skład komputerowy i łamanie: **Artur Wróblewski**. Zdjęcia: **Jan Maziejuk**. Druk: **PASAŻ** Sp. z o.o., ul. Rydlówka 24, 30-363 Kraków. Na okładkach: Starosta słupski odbiera dożynkowy chleb od starostów Powiatowych Dożynek w Kobylnicy; Na Festiwalu Bajek w Słupskiej Miejskiej Bibliotece Publicznej.

Biuletyn rozsyłany jest do radnych, parlamentarzystów, sołtysów, jednostek OSP, szkół, domów kultury, jednostek organizacyjnych powiatu, firm biznesowych oraz urzędów miast i gmin. Zamieszczany jest również na stronie internetowej: www.powiat.slupsk.pl

Rowy mają nowoczesną oczyszczalnię

Za prawie 32,5 miliona złotych zmodernizowano oczyszczalnię ścieków w Rowach

Zmodernizowaną oczyszczalnię przy ulicy Łąkowej oddano do użytku w czerwcu br. Była to ważna inwestycja nie tylko dla mieszkańców Rowów, ale także odwiedzających tę miejscowość w sezonie letnim turystów. W okresie letnim oczyszcza ona trzy razy więcej ścieków niż w pozostałych okresach roku.

Modernizacja oczyszczalni była możliwa dzięki pozyskanym środkom zewnętrznym, trwała prawie dwa lata i kosztowała prawie 32,5 mln złotych.

Obecnie oczyszczalnia, zbudowana według niemieckiej technologii, może przyjąć do 4,5 tysiąca metrów sześciennych ścieków na dobę i możliwa jest jej rozbudowa do przyjęcia - w razie potrzeby - do 7 tys. metrów sześciennych ścieków. Jest najnowocześniejszym tego typu obiektem w północnej Polsce i wykorzystuje specjalistyczne zbiorniki z membranami i systemem napowietrzania, dzięki którym ścieki po oczyszczeniu mogą być odprowadzane do... rzeki Łupawy. (A.K.)



Fot. Facebook.com / Platforma Obywatelska Słupsk

Powiat ma już 15 lat

13 września
w Dolinie
Charlotty
odbędzie się
Święto Sa-
morządów
Powiatu
Słupskiego
organizowa-
ne z okazji
przypada-
jącego w tym roku
15-lecia powiatu



Mieszkańcy wszystkich gmin będą mogli wspólnie biesiadować, a ich reprezentanci wezmą udział w Turnieju Gmin. Sześć osób starosta słupski S. Ziemiłowicz uhonoruje statuetką „Zasłużony dla Powiatu Słupskiego” za działalność wpływającą na pozytywny wizerunek powiatu na terenie kraju i za granicą, a także za działalność na rzecz lokalnej społeczności. Tego dnia atrakcje w Dolinie Charlotty dostępne będą za pół ceny. Imprezy będą towarzyszyły występy artystyczne oraz stoiska samorządów i kół gospodyń wiejskich.

Intensywnie też rozpocznie się październik. Najlepsi przedsiębiorcy działający w regionie słupskim w konkursie Lider Promocji Słupskiej Gospodarki otrzymają statuetki „Srebrnego Niedźwiedzia 2013”.

Z kolei 5 października podczas Powiatowego Święta Ziemniaka w Karżniczce, nazywanego

„Słupskimi Pokopkami”, statuetką „Słupskiej Bursztynowej Bulwy” uhonorowani zostaną najlepsi producenci ziemniaków w powiecie słupskim, a samorządowcy zmagać się będą w Ziemniaczanym Pojedynku. (D.W.)



Fot. J. Maziejuk

Fot. A. Wróblewski

Chińskie przysłowie mówi: „Nawet najdalsza podróż zaczyna się od pierwszego kroku....” Nasza podróż byłaby o wiele dłuższa i męcząca, gdyby nie nowoczesna technologia i wynikające z niej możliwości światłowodowej komunikacji

Chcą się wspólnie uczyć

Trzeba było jednak wykonać pierwszy krok, przełamać wrodzoną nieśmiałość oraz paraliżujący lęk przed wystąpieniami publicznymi, zasiąść przed kamerą i nawiązać połączenie. Równie o godzinie dwunastej, czyli w samo poniedziałkowe południe 28 kwietnia br. rozpoczęliśmy nasze pierwsze spotkanie. Byliśmy podekscytowani i zestresowani, nie wiedzieliśmy co nas czeka i czy uda nam się nawiązać nic porozumienia. Oficjalne przywitania i wzajemna prezentacja przebiegła sprawnie i w miłej atmosferze, a drobne problemy techniczne nieco rozluźniły wszystkich uczestników telekonferencji. Trzeba przyznać, że dzieliło nas blisko sześćset kilometrów, co przekładało się na milisekundowe opóźnienia w wideoprzekazie. Niestrudzenie jednak trwała wymiana doświadczeń i refleksji między samorządami uczniowskimi - Zespołu Szkół Agrotechnicznych w Słupsku i Zespołu Szkół Ponadgimnazjalnych nr 4 w Bełchatowie. Już po pierwszym kwadransie wyraźnie było widać, jak wiele nas łączy, ile pojawiło się płaszczyzn porozumienia i perspektyw współpracy.

W ten kwietniowy poniedziałek zaplanowaliśmy również przeprowadzenie debaty o udziale Polski w Unii Europejskiej - korzyści czy straty. Jako pomysłodawcy i gospodarze spotkania przyjęliśmy rolę zdecydowanych eurosceptyków, którzy zażarcie wskazywali na straty wynikające z obecności w strukturach wspólnoty. Oczywiście bardzo dobrze przygotowaliśmy się do tego „starcia” i operowaliśmy szeregiem merytorycznych argumentów. Zdawaliśmy sobie jednak sprawę, iż przeprowadzana debata internetowa nie miała na celu wyłonienia zwycięzcy, a jedynie wymianę refleksji i kształtowanie umiejętności prowadzenia dyskusji. Chcieliśmy również zachęcić naszych kolegów z Bełchatowa do udziału w obchodach dziesięciolecia polskiego członkostwa w Unii Europejskiej. Zapropowaliśmy też uczczenie dwudziestej piątej rocznicy wyborów czerwcowych i polskich procesów transformacyjnych.

Po wzmożonym okresie egzaminów maturalnych przyszedł czas realizacji drugiego etapu współpracy. Zaplanowaliśmy przygotowanie wspólnej wystawy

plakatów związanych z tematyką przełomu 1989 roku i demokratyzacją polskiego życia społecznego i politycznego. Uczniowie bełchatowskiej szkoły przygotowali i przysłali do Słupska interesujące prace plastyczne. Również i my wykorzystaliśmy nasze uzdolnienia, by wywiązać się z powierzonego zadania. Owocem współpracy jest wystawa plakatów, którą można obejrzeć w głównym holu Zespołu Szkół Agrotechnicznych w Słupsku.

Zrobiliśmy zatem pierwszy krok, nawiązaliśmy kontakt i sprawdziliśmy się w debacie. Mamy za sobą również pierwsze wspólne przedsięwzięcie. Duża odległość nie stanowi dla nas przeszkody i nie jest hamulcem. Wręcz przeciwnie, jest czynnikiem motywującym do poszukiwania nowych płaszczyzn współpracy, form wymiany myśli i doświadczeń. Mamy nadzieję, że wspólnie będziemy się uczyć, rozwijać i bawić. Dzielnice nas różnice pozwolą tak, jak w Unii Europejskiej, tworzyć „jedność w różnorodności”.

Wojciech Wróblewski
Słupsk

Obiecująca współpraca

Starostowie - słupski i lubański spotkali się 4 i 5 lipca br. w Słupsku, by omówić kolejne etapy partnerskiej współpracy



Starosta słupski Sławomir Ziemianowicz spotkał się ze starostą lubańskim Walecym Czarnieckim. Po zawarciu porozumienia o współpracy pomiędzy obu samorządami w grudniu ubiegłego roku zrodziło się już wiele pomysłów wspólnych działań. Jednym z nich, najbliższym jest wspólne Forum Gospodarcze, które odbędzie się już we wrześniu br. Starostowie omówili udział powiatów w imprezie, a także przedstawili propozycje

współpracy, m.in. wymiany dzieci i młodzieży przebywającej w ośrodkach socjoterapii i placówkach opiekuńczo-wychowawczych.

Czas pokaże, które z pomysłów uda się zrealizować przy obecnych możliwościach finansowych obu powiatów.

Wizyta partnera z Lubania była też okazją do zaprezentowania mu walorów turystycznych oraz osiągnięć gospodarczych regionu słupskiego. **(D.W.)**

Jak to jest z tymi pieniędzmi?

Nie kryję, że czasem chciałbym mieć taką maszynkę do drukowania pieniędzy, bo rozwiązałoby to wiele problemów. Ale czy taki dodrukowany pieniądz miałby wartość? I jak długo musiałbym drukować

Dlaczego muszę zapłacić więcej za rzeczy, które jeszcze wczoraj kosztowały mniej? Co do tego ma cena w innym państwie? Jak uchronić się przed podwyżką i czy jest to możliwe? Przed takimi dylematami stawia nas dziesiąta zasada ekonomii.

Wielu z nas zapewne pamięta jeszcze czasy, kiedy za podstawowe produkty płaciliśmy w tysiącach złotych, oraz jak z miesiąca na miesiąc nasze wypłaty, pomimo większej cyfry i kilku zer, miały mniejszą siłę nabywczą. Każdy z nas miał coraz więcej pieniędzy, za które mógł kupić coraz mniej. O oszczędzaniu nie było mowy. Nad zjawiskiem tym próbowali zapanować prof. Leszek Balcerowicz i prof. Grzegorz Kołodko - ministrowie finansów i wicepremierzy rządów z pierwszych lat transformacji ustrojowej. Ale nie o tych jednak panach będzie dzisiejszy artykuł, aczkolwiek uważam, że byłoby bardzo ciekawe skonfrontowanie odmiennego poglądu obu profesorów na sprawy ekonomii.

Dzisiejszym moim rozmówcą jest osoba znana z zasług dla rozwoju słupskiej koszykówki, Andrzej Twardowski. Celowo nie użyłem określenia „prezes”, gdyż uważam, że nie oddaje ono skali jego zaangażowania, chociaż od sportu nie da się uciec. Pamiętam moje pierwsze spotkanie z nim podczas wykładu prof. Balcerowicza, kiedy zadawał bardzo konkretne pytania z zakresu ekonomii społecznej. W tym artykule postaram się przybliżyć tę ciekawą osobowość od strony, mam nadzieję, nie tylko



Fot. Archiwum Autora

klubu „Energia Czarni” Słupsk. Przejdźmy jednak do rzeczy. W świecie koszykówki A. Twardowski jest dobrze znany i rozpoznawany. Kibice wiedzą wszystko o prezesie swojego ukochanego klubu, o każdym kadrowym posunięciu czy też przygotowywanych i trwających rozgrywkach. Chciałbym jednak spojrzeć na całokształt jego zaangażowania przez pryzmat pieniądza.

- Panie Andrzeju, jakie były pana początki wkraczania do biznesu?

- Były to lata dziewięćdziesiąte ubiegłego wieku. Pracowałem jak każdy Polak na etacie, lecz to mnie nie satysfakcjonowało, chciałem czegoś więcej. Był to czas, kiedy pieniędzy było dużo, lecz towaru ciągle mało. W tym okresie słyszało się: „weź sprawy w swoje ręce” i było to zachętą do działania. Założyłem wówczas razem z

kolegami moją pierwszą firmę, która rozwijała się, a ciężka praca zaczęła przynosić dochody. Były to czasy dla osób, które chciały kierować swoim życiem i nie bały się nowych wyzwań. Uczyłem się biznesu od podstaw, często działając intuicyjnie i niejednokrotnie otrzymując „zimny prysznic”. Wszystko szło dobrze do momentu choroby. W walce o życie sprawy pieniądza odeszły na dalszy plan. Straciłem firmę, lecz przy pomocy rodziny wygrałem z chorobą.

- I co zdecydowało, że podjął się pan przewodzenia słupskiej koszykówce?

- Dzisiaj może to się wydać zbiegiem dziwnych okoliczności, lecz tak było naprawdę. Sportem interesowałem się od dawna. Zdobyłem wiele nagród w turniejach szachowych i brydżowych. Znałem dobrze środowisko słupskiego sportu. W 2002 roku zaproponowano mi przejęcie nadzoru i uzdrowienie słupskiej koszykówki. Podjąłem to wyzwanie i 13 grudnia zostałem prezesem Zarządu Klubu.

- Czym kieruje się pan dzisiaj, kształtując budżet tak dużego klubu?

- Przy rozstrzyganiu corocznego dylematu: jaki budżet, jaka powinna być jego skala, pierwsza odpowiedź jest prosta: musimy wygrywać! Wyniki w sporcie zależą od stopnia umiejętności zawodnika, ale im lepszy zawodnik, tym kontrakt droższy, a gwiazdy kosztują najwięcej. Kolejną sprawą, która ma duże znaczenie przy formowaniu budżetu to hala sportowa, która decyduje o naszym istnieniu. Klub nie może czekać aż miasto wywiąże się ze swoich obietnic, musimy być gotowi do nowego sezonu tak, aby to nie był nasz ostatni sezon. Konkurencja jest spora i nie znosi słabeuszy. Tutaj potrzebny jest cały sztab ludzi, który przygotowuje odpowiednie projekty. Tworząc budżet musimy też uwzględnić szkoleniowców, sztab medyczny oraz inne służby dbające o prawidłowy przebieg działalności klubu, mieszkania dla zawodników i wiele innych rzeczy. Jesteśmy klubem, który nie ma nadwyżek budżetowych i staramy się prowadzić działalność finansową w sposób wyważony, nie rewolucyjny.

- Jak zdobywa pan fundusze?

- Zebrałem sztab ludzi, którzy rozumieją wyzwania współczesnego sportu, którzy swoje życie i umiejętności poświęcają pracy na rzecz klubu. Dzięki temu rośnie jakość naszej pracy, są jej efekty. Mammy bardzo dobrze funkcjonującą stronę internetową, stosujemy wiele nowoczesnych rozwiązań ułatwiających pracę, na przykład dotyczących możliwości scoutingowych dla trenera, czy wykorzystujemy nową aparaturę do odnowy biologicznej, posiadamy diodowe bandy dynamiczne. Kibice tworzą bardzo pozytywny obraz klubu na zewnątrz. Nie było jeszcze miasta, do którego by nie pojechali za koszykarzami. To wszystko przyciąga kolejne osoby, które odczuwają potrzebę identyfikowania się z klubem i przekonuje sponsorów. Nie kryję,

że czasem chciałbym mieć taką maszynkę do drukowania pieniędzy, bo rozwiązałoby to wiele problemów. Ale czy taki dodrukowany pieniądz miałby wartość? I jak długo musiałbym drukować?

- Obserwując pańską działalność, trudno nie zauważyć pańskiego wpływu na kształtowanie marki naszego miasta. Co powoduje, że w tak napiętym kalendarzu znajduje pan jeszcze czas na inną działalność, pozasportową?

- Sukces zespołu jest zawsze rezultatem wysiłku wielu ludzi. Dobre otoczenie przyciąga miłośników sportu i sponsorów. Dzięki osiąganym sukcesom informacja o nich rozchodzi się jak fala na jeziorze, zatacza coraz większe kręgi, przestrzeżenie, po drodze wyzwała także inne inicjatywy, aktywność. Osobiście uważam, że nasze miasto zasługuje na przywrócenie mu dobrej opinii, chociażby „małego Paryża”, gdzie dobrze żyje się jego mieszkańcom. Chciałbym, aby ludzie którzy wyjechali ze Słupska, powrócili i jednak chcieli tu pozostać. Taki przyświeca mi między innym cel w mojej pozasportowej działalności...

Rozmowa z Andrzejem Twardowskim mogłaby jeszcze długo trwać, jednak ramy artykułu są nieubłagane. Wniosek jaki się z niej nasuwa jest taki, że każda działalność człowieka, czy to w sporcie, czy w obszarze społecznym, gospodarczym opiera się na pieniądzu i jest on jednym z czynników kształtujących efekt naszej pracy. Osoby, które decydują o swojej aktywności prowadząc różną działalność odczuwają każdą decyzję związaną z finansami. Przekładając ten wniosek na omawianą dzisiaj dziewiątą zasadę ekonomii, mówiącą o tym, że ceny rosną, kiedy państwo drukuje zbyt dużo pieniędzy, można stwierdzić, że „dobry wujek” z lat minionych przynoszący walizkę pieniędzy na poratowanie sytuacji i kondycji firmy odszedł do lamusa. Efekt takiej działalności był oczywisty: początkowo coraz częstsze wizyty „wujka”, a w fazie końcowej bankructwo. Przykład dzisiejszego rozmówcy pokazuje, że samemu trzeba sobie radzić i mądrze wydawać posiadane pieniądze. Dziś rolę dawnego „wujka z pieniędzmi” pełnią banki udzielające kredytów. Nie będę przedstawiał całego systemu drukowania pieniędzy w sytuacji powstającego deficytu budżetowego przez zwiększenie podaży pieniądza, pozostawiam ten temat rozważaniom profesorów i ekonomistów. Nam, zwykłym zjadaczom chleba trzeba tylko pamiętać, że „za lekkie pieniądze trzeba będzie zapłacić” i chyba lepiej poświęcić więcej czasu i samodyscypliny, by mądrze korzystać z tego czym dysponujemy.

dr Mirosław Betkowski, Słupsk

W następnym artykule o tym, dlaczego nieprzewidywalna i nieregularna aktywność gospodarcza wpływa na wzrost lub spadek cen, oraz co z tym mają wspólne urzędy pracy?(M.B.)



Wraca moda na zdrowie

Na targach pojawiło się 98 firm nie tylko z Polski, ale też ze Słowacji, Czech, Ukrainy, Gruzji i Grecji. Tym razem organizatorzy postawili na edukację podkreślając walory prozdrowotne mleka wśród najmłodszych. Dla nich przygotowano konkursy rysunkowe i ciekawe wykłady.

Od początku do Rzeszowa przyjeżdża Okręgowa Spółdzielnia Mleczarska z Jasienicy Rosielnej. Jej prezes Kazimierz Śnieżek jest chyba najstarszym pracownikiem spółdzielczości mleczarskiej nie tylko na Podkarpaciu, ale i w całym kraju. Związany jest z tym zakładem od 1959 roku.

Jak zawsze nie zabrakło wyrobów piekarniczych i ekologicznych, mąk, kasz i otrąb. Będąc nad Wisłokiem warto zwrócić uwagę na stare przepisy wypieku pieczywa. Oto przepis na szybki chleb Flika od pana Romana Glapiaka z Dźwiniacza Dolnego:

Produkty: 10 dag drożdży, 1 kg mąki pszennej, 1 opakowanie otrąb pszennych, 1 opakowanie słonecznika lub dyni, sezamu, Inu, 1 łyżka stołowa cukru, 1 łyżka stołowa soli, 1 łyżeczka kminku, 3 szklanki wody. Wykonanie: Drożdże rozpuścić w ¾ szklanki wody, dodając łyżkę cukru. Do miski wsypać mąkę, otrąby, ziarna słonecznika lub inne, sól. Wymieszać na sucho łyżką drewnianą. Wlać rozpuszczone drożdże,

Poszukiwanie żywności ekologicznej i zainteresowanie nią zatacza coraz szersze kręgi. Potwierdziły to kolejne Międzynarodowe Targi Żywności i Produktów Ekologicznych „Ekogala” w Rzeszowie

dodać 3 szklanki wody i dokładnie wymieszać. Pozostawić do wyrośnięcia. Po wyrośnięciu ciasto przemieszać i pozostawić do ponownego wyrośnięcia. Kiedy wyrośnie drugi raz, ciasto przełożyć do wysmarowanych olejem keksówek. Po wyrośnięciu ciasta w keksówkach wstawić chleb do nagrzanego piekarnika do temperatury 200 stopni i piec 40 minut. Następnie zmniejszyć temperaturę do 180 stopni i piec jeszcze 20

się esencje do nalewek, kawa z topinamburu i maki z żołądździ.

Interesującą ofertę przywiozła „Eko-farma Odorica” spod Lewoży na Słowacji. Z całej gamy naturalnych wyciągów ziołowych moją uwagę zwrócił ogórecznik lekarski skuteczny w chorobie wrzodowej układu pokarmowego łagodzący stany zapalne, kaszel i zmniejszający napięcia nerwowe oraz szczodrak krokoszowaty chroniący trzustkę, wątrobę i śledzionę oraz poprawiający potencję.

Jedną z ciekawszych propozycji była naturalna woda mineralna Java średniozmineralizowana, profilaktyczno-zdrowotna o pH 9,2, jedyna taka w Europie. Pozwala ona na zachowanie równowagi kwasowo-zasadowej organizmu i polecana jest przy niewydolności nerek. Można ją było nabyć na stoisku Rzeszowskiego Sklepu Zielarsko-Medycznego „Zielarnia Lawenda”.

Z naszego regionu kolejny raz prezentowała się słupska firma pana Krzysztofa Kido „Polger-Kido” znana z preparatów typu bioalgen pochodzących z alg morskich.

Rzeszowskie targi były też doskonałą okazją do prezentacji walorów turystycznych regionów Polski. Skorzystały z tego urzędy marszałkowskie z Podkarpacia, Lubelszczyzny, Podlasia i Ziemi Świętokrzyskiej, zachęcając do odwiedzenia swoich

terenów. Niestety, nie doceniły tego województwa nadmorskie.

W tym roku zadaniem konkursu kulinarnego było przygotowanie potrawy na bazie wołowiny, serów i wina. Wśród dzieci szkół najlepsi okazali się młodzi kucharze z Zespołu Szkół Gospodarczych w Rzeszowie.

Najładniejsze stoisko należało, zdaniem jury, do miasta partnerskiego Rzeszowa - Łuck. Kolorowe stroje, doskonałe skomponowana ekspozycja alkoholi produkowanych na bazie miodu i ziół przyciągała licznych zwiedzających. Szef łuckiej firmy Dmitruk Wołodimir nie krył swego zadowolenia z uznania jurorów konkursu.

Rzeszowska „Ekogala” nadal nie przyciąga firm oraz urzędów administracji na Pomorzu. Szkoda, bo jest to doskonała promocja regionu mogąca przynieść korzyści na wiele lat.

Kazimierz Jutrzenka, Słupsk

Powiat słupski od lat znajduje się na szczycie ogólnopolskich rankingów, w których nagradza się powiaty za działania sprzyjające naturalnemu środowisku. W roku 2009 otrzymał tytuł „Powiat przyjazny środowisku”, w latach 2010 - 2011 oceniony był najwyższej za odnawialne źródła energii.

Najwcześniej powstała w powiecie słupskim energetyka wodna. Obiekty inżynierskie elektrowni wodnych wpisały się już na stałe w krajobraz i stanowią nieodłączny element pomorskich systemów wodnych. Rozwój tej dziedziny energetyki zdeterminowany był przede wszystkim uwarunkowaniami przyrodniczymi. Nasze rzeki: Słupia, Wieprza, Łupawa i Skotawa, atrakcyjne dla kajakarzy, mają najczęściej charakter rzek górskich. Dlatego możliwe było zbudowanie wielu elektrowni wodnych. Są to liczne, lecz najczęściej małe elektrownie wodne. Niestety, ich funkcjonowanie wywołuje dziś wiele kontrowersji. Obok niezaprzeczalnie wielu zalet, jakie niesie za sobą wykorzystanie energii wody, systemy takie stwarzają bowiem również wiele problemów. Przyczyniają się do zmiany warunków hydrologicznych, mikroklimatu, stanowią też przeszkodę w migracji ryb. Rosnąca w tym zakresie świadomość społeczna, pozwala stosować rozwiązania pozwalające ograniczyć do minimum negatywny wpływ energetyki wodnej na środowisko. Na przykład w przypadku ryb poprzez budowę przepławek.

Najprężniej rozwijającą się dziedziną energetyki odnawialnej w powiecie słupskim jest jednak energetyka wiatrowa. Największe systemy elektrowni wiatrowych zlokalizowane są w Sierakowie i Luleminie w gminie Kobylnica. W sumie pozyskują one energię o mocy 84 MW. Dwie mniejsze farmy zlokalizowano w Bierkowie i Darżynie. Ze względu jednak na wysokie koszty inwestycyjne i brak stabilizacji w ilości produkowanej energii, ta gałąź energetyki stanowi niewielki procent w stosunku do energii produkowanej ze źródeł konwencjonalnych.

W przeciwieństwie do energetyki wiatrowej, sektor energetyki słonecznej tworzą przede wszystkim nieduże instalacje zlokalizowane na domach osób fizycznych lub obiektach użyteczności publicznej. Obecnie istnieje możliwość uzyskania wsparcia na ten rodzaj energii z Narodowego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej w Warszawie. Można uzyskać 45 proc. kosztów zamontowania solarów.

Warto przy okazji zaznaczyć, że poza tym dofinansowaniem istnieje też możliwość uzyskania dofinansowania budowy domów energooszczędnych. Procedura pozyskania funduszy na ten cel jest analogiczna jak w przypadku wniosków o dofinansowanie kolektorów słonecznych. W tym przypadku wysokość dofinansowania może wynieść nawet do 50 tys. złotych.



minut. Po upieczeniu wyjąć i posmarować gorący chleb wodą, aby zmiękła skórka. Po przestygnięciu wyjąć z keksówek.

Oryginalnością wykazała się Wytwórnia Towarów Niezwykłych pani Joanny Sławińskiej z Mazowsza. Wśród nich m.in. maliny z koniakiem jako konfitury o zapachu świeżych malin rozgrzewające w herbacie, a także wyśmienite do serów pleśniowych i drobiowej wątróbki oraz jagody z żubrówką, pyszne z białym serem idealne do pasztetu z dziczyzny.

Studenci z Uniwersytetu Rzeszowskiego prezentowali napój serwatkowy przygotowany w Katedrze Mleczarstwa pod kierunkiem pani prof. dr hab. Agaty Znamirskiej. Powstaje on na bazie serwatki poddanej fermentacji i zawiera od 3 do 10 proc. alkoholu o smakach: cytrynowym, malinowym i imbirowo-cynamonowym.

Wśród kilkuset produktów ekologicznych firmy „Dary Natury” z Podlasia znalazły

Biorąc pod uwagę ilość i zróżnicowanie walorów przyrodniczych i turystycznych, jakimi poszczycić się może powiat słupski, ważne jest, aby zachować stan środowiska przyrodniczego w jak najlepszym stanie. Dlatego prowadzona polityka ekologiczna opiera się w dużej mierze na wspieraniu rozwoju odnawialnych źródeł energii i równoczesnym utrzymywaniu dobrego stanu środowiska przyrodniczego

Powiat energetyczny

W powiecie słupskim pozyskiwana jest też energia z biomasy, pomp ciepła i tzw. systemów geotermalnych. W ostatnich latach nie powstała jednak żadna nowa duża kotłownia opalana biomasą, a powstały jedynie małe kotłownie, na potrzeby indywidualnych gospodarstw domowych.

W perspektywie globalnego wzrostu znaczenia energii odnawialnej ważne jest, aby nadal nie tylko rozbudowywać sieć energetyczną opartą na źródłach odnawialnych, lecz równocześnie zwiększać świadomość ekologiczną mieszkańców.

W celu utrzymania wskaźników jakości powietrza w powiecie słupskim nie tylko propaguje się i wspiera rozwój energetyki odnawialnej, lecz również termomodernizuje wiele budynków, w tym obiektów użyteczności publicznej. Na przykład z obiektów powiatowych w latach 2010 - 2014 termomodernizacji poddano Domy Pomocy Społecznej w Lubuczewie i Machowinku, Młodzieżowy Ośrodek Socjoterapii Ustce oraz Zespół Szkół Agrotechnicznych w Słupsku. Z budżetu powiatu przeznaczono na to prawie milion złotych.

Sporym novum w minionym roku było wprowadzenie tzw. ustawy śmieciowej. Warto zaznaczyć, że wprowadzone zmiany dotyczyły nie tylko „podatku śmieciowego”, lecz miały za zadanie również zapobiegać i zmniejszać negatywny wpływ na środowisko oraz zdrowie ludzi, poprawić efektywność użytkowania zasobów. Nowa ustawa o odpadach zakłada przede wszystkim uszczelnienie systemu gospodarowania odpadami komunalnymi, zmniejszenie ilości przekazywanych odpadów na składowiska, całkowite wyeliminowanie nielegalnych składowisk, jak również prowadzenie selektywnego zbierania odpadów komunalnych u tzw. „źródła”.

Ustawa ta wprowadziła również instytucję regionów, odpowiedzialnych za prowadzenie na swoim terenie gospodarki odpadami. Powiat słupski przydzielono do

Regionu Północno-Zachodniego, obejmującego również powiat bytowski. W regionie tym funkcjonują dwie w pełni wyposażone instalacje do przetwarzania odpadów komunalnych - w Bierkowie i Sierźnie. Do zagospodarowania selektywnie zebranych odpadów zielonych wyznaczono „Wodociągi Słupsk” Sp. z o.o., wyposażone w kompostownię odpadów.

Gospodarowanie odpadami komunalnymi jest zadaniem własnym gminy, powiat słupski realizuje natomiast od 2007 roku wieloletni program usuwania azbestu. Jego powszechne zastosowanie w postaci pokryć dachowych i bagatelizowanie jego szkodliwego charakteru, skłoniły powiatowy samorząd do podjęcia działań, które przyczynią się do zmniejszenia tego zagrożenia.

Zinventaryzowano ok. 13 tysięcy mg azbestu. W przeważającej części są to płyty azbestowo-cementowe pokrywające dachy domów mieszkalnych w wielu wsiach i innych budynków. Każdy mieszkaniec powiatu uzyskać może pomoc finansową na pozbycie się azbestu. Programem objęte są zarówno budynki przeznaczone na cele mieszkaniowe, jak i gospodarcze. W ostatnich trzech latach udzielono mieszkańcom pomocy finansowej w wysokości 280 tys. zł.

Ważną sprawą w powiecie słupskim staje się również poszukiwanie złóż gazu łupkowego. Ten stosunkowo nowy temat budzi jednak wiele obaw wśród ludności, szczególnie

zamieszkalej na terenach gdzie prowadzone są prace badawcze. Obawy spowodowane są jednak najczęściej niedostateczną wiedzą. Dotychczas Minister Środowiska wydał trzy koncesje na wykonanie otworów poszukiwawczych na terenie powiatu słupskiego - w Warblinie, Wytownie i Potęgowie.

Eugenia Bereszyńska
Naczelnik Wydziału Rolnictwa
i Ochrony Środowiska



Fot. J. Maziejuk

Czy będzie zgoda?



Fot. J. Maziejuk

*Rolnik i myśliwy
dwa bratanki...
być może to
stwierdzenie na-
bierze realnego
brzmienia za
sprawą reali-
zacji projektu
współfinanso-
wanego przez
Ministerstwo
Pracy i Polityki
Społecznej*

Tego ogromnego wyzwania i innowacyjnego rozwiązania podjęło się Stowarzyszenie Naukowo - Techniczne Inżynierów i Techników Rolnictwa ze Słupska. Celem dofinansowanego projektu pod nazwą „Zgoda buduje, niezgoda rujnuje” jest poprawa trudnych relacji pomiędzy społecznością rolniczą powiatu słupskiego a dzierżawcami obwodów łowieckich. Zarzewiem konfliktów są szkody łowieckie wyrządzane przez zwierzynę łowną, m.in. dziki, jelenie i sarny, których liczebność w ostatnich dziesięciu latach znacznie wzrosła - prawie dwukrotnie. Rolniczy charakter powiatu słupskiego (połowa ob-

szaru to użytki rolne) nie pozwala faktycznie tego pozostawić bez znaczenia. Każda ze stron twierdzi, że jest pokrzywdzona. Pojawia się zatem pytanie, jak w obliczu strat z reguły finansowych, załagodzić skutki wyrządzonych szkód i im zapobiegać w przyszłości?

Funkcjonujące od kilkudziesięciu lat stowarzyszenie zna argumenty obu stron i dlatego chce pokazać, że jest to problem, który należy rozwiązywać w relacjach partnerskich poprzez dialog i budowanie współpracy.

- Zdajemy sobie sprawę, że coraz trudniej prowadzi się negocjacje i dlatego dochodzi do konfliktów. Poprzez realizację projektu chcemy zachęcić społeczność rolniczą naszego powiatu do udziału w kształtowaniu i funkcjonowaniu lokalnej gospodarki łowieckiej, zapewnimy dostęp do informacji o procedurach i sposobie szacowania szkód, by wspólnie znaleźć odpowiednie rozwiązanie dla tego problemu - mówi Bolesław Giczewski - prezes słupskiego oddziału SITR. Projekt rozpoczął się 1 czerwca i będzie

realizowany do końca bieżącego roku. W tym czasie w każdej gminie powiatu odbędą się m.in. warsztaty z rolnikami, myśliwymi i przedstawicielami jednostek samorządu. Celem tych spotkań będzie poznanie opinii i doświadczeń w zakresie współpracy przy tworzeniu wspólnej gospodarki łowieckiej, a następnie wypracowanie rekomendacji dotyczących standardów i dobrych praktyk przy szacowaniu szkód łowieckich oraz współpraca w zakresie kształtowania lokalnej gospodarki łowieckiej. Powstanie raport, który będzie zawierał najważniejsze wnioski i rekomendacje uczestników. Ponadto w biurze stowarzyszenia został utworzony punkt konsultacyjno-informacyjny, który umożliwi poszkodowanym łatwiejszy dostęp do informacji i skuteczne doradztwo w kwestiach związanych z trybem odszkodowawczym. Po bezpłatnym doradztwie mogą się zgłaszać wszyscy zainteresowani.

Zdaniem Magdaleny Borowiec-Wieczorek - dyrektora biura SITR w Słupsku, wszyscy, którzy polują i nie polują, a chcą chronić środowisko naturalne powinni wspólnie tworzyć gospodarkę łowiecką, która nie opiera się tylko i wyłącznie na polowaniach, ale również na obserwacji środowiska i dbaniu o stan dzikiej zwierzyny. Do tego potrzebny jest odpowiedni klimat społeczny, różne grupy społeczne powinny mieć możliwość wypowiedzenia się i przedstawienia swoich punktów widzenia, zapoznania się z argumentacją i koncepcją innych, a realizowany projekt ma to ułatwić.

Małgorzata Zander, Słupsk

Szczegóły realizowanych działań oraz harmonogram spotkań dostępny jest m.in. na stronie internetowej: www.sitrslupsk.pl; informacje na temat realizacji projektu można też uzyskać pod numerem telefonu: 59 842 58 49.



Fot. J. Maziejuk

Ale co my, zwykli ludzie możemy na to poradzić? Nie jesteśmy przecież właścicielami fabryki, która zatruwa powietrze. Ale czy na pewno nic od nas nie zależy? A czy przypadkiem nie palimy swoich śmieci, uważając, że lepiej jest spalić niż wyrzucić do kosza? Niektórzy z nas nawet są z siebie zadowoleni, że tacy zaradni, gospodarni. Dokonujemy przecież selekcji śmieci u źródła. A to co uznamy za możliwe do spalenia poddajemy niezwłocznie domowemu recyklingowi. Tylko czy na pewno robimy dobrze?

Spalając swoje śmieci działamy przeciw ochronie środowiska, przeciw zdrowiu naszemu i naszych najbliższych. Oszczędność z takiego działania jest żadna. Wrzucając do ognia coś innego niż tradycyjny opał z pewnością przyczyniamy się do zachorowania na raka, alergie i różne uczulenia. Spalanie śmieci w domu szkodzi zdrowiu i środowisku, tymczasem wielu z nas postrzega je za dobrą, tanią i niekłopotliwą metodą ogrzewania np. mieszkań. Nasza oszczędność jest pozorna i krótkoterminowa. Leczenie późniejszych skutków naszego postępowania wielokrotnie przewyższa nasze oszczędności. Toksyny uwalniane z dymem do powietrza dostają się do naszych dróg oddechowych, opadają na glebę, dostają się do wód gruntowych, a także do uprawianych warzyw, kumulują się w drzewach i owocach.

Warto pamiętać, że podczas spalania śmieci powstają: pyły z metalami ciężkimi - które powodują zagrożenie białaczką, tlenek węgla (CO) wiąże czerwone ciała krwi, utrudnia transport tlenu w organizmie; tlenki azotu (NOx) podrażniają i uszkadzają płuca; dwutlenek siarki (SO₂) powoduje trudności w oddychaniu. Chlorkowodor z parą wodną kwas solny (silnie żrący), z kolei cyjanowodor tworzy z parą wodną kwas pruski, który blokuje nieodwracalnie oddychanie tkankowe. Wydzielające się podczas spalania dioksyny są przyczyną nowotworów.

Podczas spalania 1 kg PCV (butelki plastikowe, folia) powstaje 280 litrów gazowego chlorowodoru. Spalając 1 kg pianki poliuretanowej (obuwie, odzież, meble)

Co roku ze względu na zły stan powietrza w Polsce umiera 28 tysięcy osób - takie dane podaje raport Komisji Europejskiej

Spaliny i dymy są szkodliwe



Fot. SITR O/Słupsk

wytwarza się 50 litrów cyjanowodorów. Mając na uwadze powyższe dobrze wiedzieć, że nie wolno spalać w domowym piecu, ani w ognisku m.in. odpadów plastikowych, odzieży, obuwia, wszelkich przedmiotów z tworzyw sztucznych, butelek, pojemników, toreb foliowych, zużytych opon i innych odpadów z gumy, elementów drewnianych pokrytych lakierem lub impregnowanych, sztucznej skóry, opakowań po rozpuszczalnikach czy środkach ochrony roślin, pozostałości farb i lakierów oraz opakowań po nich, papieru bielonego nieorganicznymi związkami chloru z nadrukiem farb kolorowych.

Temperatura panująca w domowych piecach jest zdecydowanie za niska do utylizowania takich odpadów. Domowe instalacje grzewcze nie posiadają też zaawansowanych filtrów montowanych w spalarniach odpadów. Spaliny i dymy wydobywające się z domowych kominów są około sto razy bardziej zanieczyszczone niż dymy ze spalarni odpadów bądź hut czy cementowni.

W naszych domowych piecach możemy ewentualnie spalać: odpadowe drewno pochodzące z budowy, remontów i rozbiórki obiektów budowlanych, ale pod warunkiem, że nie zostało pomalowane lub zabezpieczone impregnatami albo powłokami ochronnymi; korę oraz papier i tekturę, pamiętając, że spalanie kolorowych czasopism, katalogów i reklam działa szkodliwie na przewody kominowe, zatyka je z czasem smolistym osadem, a popiół z ich spalania zawiera metale ciężkie, wykorzystywane do produkcji farb drukarskich. Problem jest poważny, dlatego słupski oddział SITR pozyskał środki ze Starostwa Powiatowego na zorganizowanie spotkań edukacyjno-informacyjnych dla mieszkańców powiatu słupskiego na temat nie palenia śmieci oraz utworzenie kącika ekologicznego dla dzieci i młodzieży podczas „Pokopek 2014”.

Magdalena Borowiec-Wieczorek, Słupsk



spalanie śmieci w domu szkodzi zdrowiu i środowisku

Wracają nie tylko bociany

*Od czterdziestu lat
co roku powraca
w rodzinne Jawory
i okolice Pan Horst
Marten z małżon-
ką Brigitte, miesz-
kający na co dzień
w dalekiej Bawarii*



Fot. Archiwum Autora

Każdy przyjazd jest wielkim przeżyciem dla państwa H. B. Marten, którzy mają tu dużo przyjaciół i znajomych, a wesołe usposobienie pana Horsta tworzy radosną atmosferę tych spotkań. Ojciec

jego był sołtysem Jawor, a mały Horst chodził do szkoły podstawowej w Jaworach, a później do gimnazjum w Bytowie. Zawierucha wojenna boleśnie doświadczyła rodzinę H. Martena, ojca ostatni raz widział zatrzymanego przez Rosjan na zamku w Bytowie, a później słuch po nim zaginął. Horst jako chłopiec też trafił do radzieckiej niewoli. Uratował go Jan Żywicki, który do Jawor po wojnie przyjechał z Kociewia - Starej Kiszewy. Przekonał Rosjan, że omyłkowo zabrali jego syna i używając ówczesnej waluty - bimbru wykupił Horsta z obozu w Grudziądzu i przywiózł do spłakanej matki w Jaworach.

Od tej pory Jan Żywicki miał trzeciego syna, a Horst nowego ojca. Serdeczności ich corocznych spotkań nie da się opisać. Jako chłopiec szybko nauczył się języka polskiego, którym do dziś się dobrze posługuje. Wyjechał z Jawor w 1947 roku, przed

opuszczeniem

rodzinnej wsi pochował tu swoją babcię, jak wspomina, grób pomagał mu wykopać kolega, zmarły rok temu Konstanty Żywicki.

We wsi za czasów niemiec- kich - jak wspomina Horst - pro- wadziło gospodarstwa dziesię- ciu rolników. Choć minęło już tyle lat, Horst jeszcze dzisiaj wymienia każdego z nazwiska i imienia. Hodowano wtedy du- żo bydła mlecznego odstawia- jąc mleko do odległej o cztery kilometry wsi Unichowo. Ów- czesna mleczarnia istniała do lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku i produkowała doskona- łą sery twarde. Dzisiaj trzeba odnotować ze smutkiem, że po tej przetwórni nie ma nawet śla- du. W dolinie rzeki Skotawy, nad którą leży wieś Jawory, znajdo- wały się dobrze zagospodaro- wane i zmeliorowane łąki i pa- stwiska. Stanowiły źródło taniej paszy, szczególnie dla bydła.

- Pamiętam jako mały chłopiec - wspomina p. Marten

- pracę przy sianokosach i wspólny wypas bydła. Dla nas, dzieciaków była to nie tyl- ko praca, ale również doskonała frajda. Dziś cały teren doliny tej rzeki porośnięty jest krzewami i olchami, a we wsi nie ma prawie

wcale rolników... Jedynie grunty po daw- nym majątku zagospodarował pan Barto- siewicz, prowadząc uprawy ekologiczne.



Fot. Archiwum Autora

We wsi działał również młyn gospo- darczy, do którego przywozili zboża na przemiał rolnicy z okolicznych wsi.

Pan H. Marten był jednym z inicjato- rów odnowienia zniszczonego cmentarza w Jaworach. Dokonano tego w 1995 roku przy wsparciu Fundacji Polsko-Niemieckiej. Odnowiony cmentarz poświęcili wspólnie proboszcz budowskiej parafii - ks. Tadeusz Rybiński i pastor T. Sikora ze Słupska. Dziś należy do bardzo zadbanej. Zachowało się na nim kilka kamiennych krzyży, płyt nagrobnych, pomnik poległych oraz inne detale z nagrobków. Wszystkie te pozosta- łości zgromadzono wokół nowego krzyża. Obejrzeć tu można też m.in. dwie płyty na- grobne przedstawicieli panującej w wiosce rodziny junkierskiej - von Mach.

Spotkałem się z p. Martenem i je- go małżonką właśnie na tak bliskiej mu nekropolii wśród szumiących zielonych buków.

- Teraz jesteśmy razem w Unii Euro- pejskiej - podkreślał w rozmowie. - Na dzi- siejszy świat patrzę z optymizmem ze swo- jej 85-letniej perspektywy. Zawsze mówię, że najgorsza rzecz na świecie to wojna i trzeba zrobić wszystko, aby jej nie było.

Odnowiony cmentarz pielęgnują mieszkańcy Jawor na czele z sołtysem - Z. Rosiakiem, traktując to jako ludzki obo- wiązek z szacunku dla poprzednich miesz- kańców tej wsi.

Kazimierz Jutrzenka, Słupsk

Lipiec 2014 roku, piękny, upalny, dawno takiego nie było. Z opowiadań bliższych przypomina wrzesień 1939 roku. Przeżyłam dzięki temu, że mama schowała się ze mną, małym dzieckiem w kartoflisku. Oby nie wywołać tego losu...

Moja nadjeziorna, nadmorska ziemia Izbica to kraina, w której w wyniku powojennej historii żyją obok siebie różni ludzie. Przyjechali tu po wojennej tułaczce młodzi pełni zapału, niektórzy po strasznych przeżyciach. Prawie wszyscy pracowali u niemieckich bauerów lub w fabrykach broni. Ta piękna, zielona ziemia przytuliła ich jak matka. Wrócili ci ze wschodu, z gułagów, z kołchozów Kazachstanu. Mową ich śpiewną pieśni inne, ale wszyscy poddali się z czasem procesowi asymilacji. Mieli tu wszystko, domy, budynki gospodarcze, które mają dziś po sto albo więcej lat. Zastali cudowny filigranowy kościółek wśród starych drzew. Odbýwały się w nim pierwsze śluby, chrzciny, Komunie Święte.

Jeśli ktokolwiek zboczy z głównej drogi, rzuca się w oczy sielski, spokojny krajobraz. Izbica to wieś, której droga wysadzona jest stuletnimi lipami, właśnie teraz, pachną przecudnie, przyciągając roje pracowitych pszczół. W parku rosną stare, bardzo stare egzotyczne drzewa. Ludzie to przeważnie byli rolnicy. Uprawiali te nadjeziorne pola, początkowo końmi, potem już były traktory i inne maszyny rolnicze. Na dużych obszarach łąk wypasały się stada bydła. Mleko odbierała miejscowa zlewnia. Ludzie mimo ciężkiej pracy byli weselsi niż dziś. Rano budził odgłosem dojarek, brzękiem baniek na mleko. Teraz, cóż, moja Izbica jest pięknie odnowiona, ale wygląda jakby czas stanął w miejscu. Sprawia to poranna cisza. Dobrze jeszcze, że starsze panie hodują kury, to słysząc pkanie koguta.

Ziemia oddana za unijną emeryturę jednemu właścicielowi już nie zaznaje tej troski, tej serdecznej odwiecznej chłopskiej miłości. Siedzą jeszcze na ławkach starsze kobiety, gdzieś tam radośnie podskakują dzieci, ale gdzieś z kątów podwórka wypelza szary smutek przemijania. Dzisiejszy świat ze swą nowoczesnością jest wygodniejszy, ale młodym odbiera przywiązanie do tej pięknej ziemi. Nie ma pracy, co wartościowsza, odważniejsza część młodzieży z mojej Izbicy, zmuszona była wyjechać za chlebem do Anglii, Niemiec, Szwecji, a nawet Norwegii. Nie wiem czy w pierwszych dniach nocami nie czuli ogromnej tęsknoty za rodziną, cudnym jeziorem, zielonymi łąkami i lasami. Przecież nad tą ziemią panuje niezmacona natura, rozległe łąki, lasy i ten krzyż na skraju wsi, pod którym troskliwa ręka pani Teresy Chomy zasadziła na chwałę Panu Chrystusowi, różę.

Smutek przemijania to domy zmarłych mieszkańców mojej Izbicy, sprzedane, nowi właściciele przyjeżdżają tylko na urlopy. Zawsze mi się zdaje, że po pustym obejściu chodzi pani Ciborowska, która tak

Idąc tędy po zmroku wydaje mi się, że z pustego domu wychodzi mgła zapomnienia, w osobach zmarłych

Moja nadjeziorna wieś przemija



Fot. J. Maziejuk

kochała swój dom, a teraz, no cóż, straszą wysokie trawy pod płotem. Wiosną tylko zakwitnie rój żonkili. Myślę, że ciemną nocą płaczą nad tą pustką stare drzewa. Podobnie sprawa wygląda z obejściem państwa Parowińskich. Idąc tędy po zmroku wydaje mi się, że z pustego domu wychodzi mgła zapomnienia, w osobach zmarłych.

Myślę, że chlubą mojej wioski jest pani Emilia Zakręt, moja sąsiadka, osoba o niewiarygodnej energii. Mając 91 lat utrzymuje w idealnym porządku dom na zewnątrz i w środku. Pracując jako dziecko od pięciu lat, jest tytanem pracy. Będąc sierotą, aby przeżyć pasła u bogatszych gospodarzy gęsi i krowy. Potem przyszła wojna i znów harówka u Niemców. Po wojnie wróciła wraz z mężem do Izbicy, mieszkając razem z byłymi właścicielami domu, dopóki nie wyjechali do Niemiec. Praca w polu, praca w domu, wychowanie i wykształcenie trzech córek to też trud ogromny. Nie odebrało to tej kobiecie radości życia. Ukoronowaniem jej pracy jest zadbany ogródek, w którym od wiosny kwitną żonkile, tulipany,

piwonie, goździki, cynie i inne kwiaty. Ma również zadbany ogród warzywny. Chwała takim bohaterom pracy. Całuję tu z tego miejsca jej spracowane ręce, podobne dłoniom mojej mamy Janiny. Myślę, że tę wytrzymałą kobietę ukształtowały trudne lata dzieciństwa.

Cywilizacja odsuwa od nas radość życia, lecz w przypadku tej spracowanej kobiety tak się nie stało. Skupiamy się bardziej na tym co mamy, niż na tym kim jesteśmy. Budujemy coraz większą cywilizację. Przyspieszamy. Kupujemy najnowszy model telefonu i zanim poznamy jego funkcje na rynku, pojawia się nowy. Cywilizacja sprawia, że zapominamy, co jest w życiu najważniejsze. Jednak im więcej mamy, tym bardziej nie wiemy, kim jesteśmy. Nasze serca często ogarnia pustka i frustracja. Ludzie z Izbicy, ci starsi nie odczuwają tej pustki. Myślę, że stając w obliczu śmierci czują się spełnionymi. Dlatego niech cmentarne drzewa szumią im hymn uwielbienia. Cisza pól utuli do wiecznego snu.

Emilia Zimnicka, Izbica

cywilizacja odsuwa od nas radość życia

Dionizy Bielański z mojej rodzinnej wsi, były wieloletni dyrektor Szkoły Podstawowej w Pobłociu napisał w liście, że „ładnie i mocno prosi w imieniu osób roztropnych i racjonalnie myślących, aby doprowadzić sprawy do końca i budynek szkolny w Pobłociu oraz zbiorowa mogiła poległych żołnierzy z II wojny światowej w lesie za Ґatkami znalazły się w albumowym lub książkowym wykazie zabytków” - takim, jakie poświęcono już pałacom i dworom oraz mogiłom i pomnikom w powiecie słupskim



Fot. J. Maziejuk

Zdaniem b. dyrektora mojej szkoły, oba obiekty spełniają do tego właściwe wymogi. „W załączeniu dzielę się częścią moich materiałów - dopisał - które zbieram i mam ich pokaźne zbiory na różne tematy”. Do swego listu dołączył odnaleziony w zasobach internetowych polskiego archiwum Repetytorium Cyfrowego opis jednego z dwu filmów dokumentalnych z powiatu słupskiego, także wynalezioną w Internecie - opowieść o młynie wiatrowym w Pobłociu i historię Słupskich Kolei Powiatowych SA (Stolper Kreisbahnen AG). Uznałem, że warto podzielić się z Czytelnikami „Powiatu Słupskiego” zebranymi i przysłanymi mi w liście informacjami internetowymi na temat historii mojej rodzinnej wsi, a zatem - i powiatu słupskiego.

Nadesłany opis filmu dokumentalnego to fragment Polskiej Kroniki Filmowej z 1954 roku nagrany w Cecenowie. Film opatrzone jest komentarzem lektora - znanego później aktora Andrzeja Łapickiego. „Gdy dwa miesiące temu minister Chełchowski

odznaczał w Warszawie przodujących pracowników PGR, Franciszek Klawiter otrzymał - Sztandar Pracy drugiej klasy. Za co spotkało Klawitera to zaszczytne wyróżnienie. By znaleźć odpowiedź, przenosimy się do powiatu słupskiego. Jest wczesny poranek, godzina trzecia trzydzieści, letnie pastwisko dla krów z obory PGR Cecenowo. Jeszcze w najlepsze śpią wszyscy pracownicy, gdy na pastwisko przyjeżdża brygada oborowa, kierowana przez Klawitera. Oborowy sam zadaje paszę do koryt - uważa on, że tak wcześniej śniadanie znakomicie służy jego wychowankom - krowy jak wiadomo lubią w spokoju i dostojnie przeżuwać i trawić. Klawiter dogląda pilnie pracy swojej brygady. O godzinie czwartej rozpoczynał się ranny udój. Brygada Klawitera opracowała dokładny ceremoniał tego dojenia - mleko od każdej krowy jest mierzone i zapisywane w książkach kontrolnych. Fachowa, troskliwa opieka nad oborą, dyscyplina i porządek w codziennej pracy dały wspaniałe wyniki. Brygada oborowa

Klawitera produkuje w Polsce i osiągnęła rekordowy wynik - średnio pięć tysięcy czterysta litrów mleka rocznie od krowy. Wszystkie zaś rekordy bije ta oto pupilka obory - Cecera. No, Cecera wstawaj. Będziesz w Kronice. Dwanaście tysięcy litrów mleka przez rok - prawdziwa cysterna mleka. Franciszek Klawiter rzetelnie zapracował na swoje odznaczenie”.

To drugi i ponoć ostatni film dokumentalny z powiatu słupskiego, który znalazł się w zasobach Repozytorium Filmowego na stronie internetowej. Pierwszym miało być niepublikowane dotąd nagranie z połowu troci w Słupsku w latach pięćdziesiątych. Jak ważną postacią był Franciszek Klawiter w tamtych czasach wiadomo nie tylko w środowisku pegeerowskim. Był wzorem dobrego gospodarza także dla indywidualnych rolników, których zwłaszcza w Pobłociu nie brakowało. Do dziś stoi dom w Cecenowie, a właściwie przy głównej szosie przed tą wsią, w którym mieszkał i z którego wyjeżdżał codziennie bardzo

wcześnie rano do pracy w cecenowskim pegeerze. Mieszka w nim dzisiaj pewnie nadal rodzina Rybakowskich. Był charakterystyczny, bo zawsze zadbany. A o rekordzie Cetry, która dawała dwanaście tysięcy litrów mleka rocznie, pamiętano jeszcze w latach osiemdziesiątych ub. stulecia. Po tem rekord ten pobiły chyba - jeżeli mnie pamięć nie myli - krowy hodowane przez Jerzego Kaisa - wieloletniego dyrektora Państwowego Ośrodka Hodowli Zarodowej w Bobrownikach.

O młynie wiatrowym w Pobłociu w przesłanym materiale czytamy: „Pobłocie to dawniej duża typowo gospodarska wieś leżąca przy Alei Kaszubskiej - jak dawniej nazywano drogę z Wicka do Słupska. Ostatnio bardzo mnie zaintrygowała. Oto powód. Chodzi o młyn wiatrowy, nie wodny. W Pobłociu w latach 20-tych była piekarnia i na niewielkim wzniesieniu zwanym Górą Młyńską - młyn wiatrowy. Początkowo należały one do piekarza Karla Glende. Pod koniec 1920 roku sprzedał on młyn wiatrowy młynarzowi Erichowi Gelekowskiemu, ponieważ miał zbyt mało pracy w gospodarstwie i piekarni. Erich pochodził z Prus Zachodnich, z miejscowości Bukowo Morskie. Początkowo miał z wiatrakiem spore problemy: najpierw podczas silnej wichury oberwały się skrzydła, później już po ich naprawie silne poddmuchy wiatru doprowadziły do wytworzenia się silnego tarcia co sprawiło, że konstrukcja się zapaliła, ogień jednak szybko ugaszono. Po tym zdarzeniu do napędu wiatraka zastosowano dwa potężne silniki elektryczne. Niestety, rodzinę Gelekowskich prześladował pech, z ich dwojga dzieci jedno zmarło mając roczek (Johann), drugie - Emil, który miał odziedziczyć młyn, zmarł w wieku 21 lat. Również sam Erich zmarł na pylicę dosyć młodo, bo zaledwie mając 53 lata. Tak to pani młynarzowa została sama bez rodziny i potomstwa. W czasie II wojny światowej w wiatraku pracowali Polacy, którzy dbali o młyn, pani młynarzowa traktowała ich dobrze, przez co po wojnie nie stała jej się krzywda. Przebywała do 1947 roku w Pobłociu i pomagała polskiemu młynarzowi. Potem wyjechała i do śmierci mieszkała w Hamburgu.”

Z dalszych opowieści internatowych wynika, że po wiatraku pozostał owalny zarys fundamentów, w niektórych miejscach widać nawet fundament. A owa Góra Młyńska znajduje się za posesją nr 19. W Pobłociu był oczywiście drugi jeszcze młyn - wodny, po wojnie prowadził go nawet mój stryj Stanisław Babiarz, później po jego śmierci próbował mieć zboże na mąkę jego syn Bronisław. Po śmierci Bronisława młyn poszedł w inne ręce i od wielu lat już nie pracuje, chociaż urządzenia młyńskie jeszcze się chyba zachowały. Oczywiście, w ostatnim swoim aktywnym okresie młyn napędzany był już wyłącznie energią elektryczną, ale ja pamiętam, że pod koniec

lat sześćdziesiątych wykorzystywane były urządzenia wodne i do młyna przyjeżdżało wiele furmanek ze zbożem. A podobne młyny funkcjonowały w Białogardzie, Zdrzewnie i wielu innych nie tak oddalonych miejscowościach.

O dawnym pałacu w Pobłociu, w którym od wielu lat znajduje się szkoła (sam do niej chodziłem), i który w ocenie autora listu powinien zostać umieszczony wśród innych zabytków powiatu słupskiego, D. Bielański nie przesłał informacji. Sam znalazłem kilka zdań o nim na forach internetowych. Nie było to takie trudne. Przeczytałem m.in., że „po parcelacji i zasiedleniu majątku pobłockiego na przełomie lat 1908/1909 powstał w nim dom dziecka, który istniał do 1937 roku. Potem umieszczono w nim Landjahrlager, czyli specjalny ośrodek dla młodzieży. Wprowadzono tę instytucję około roku 1934 i dyscyplinowano w tych obozach specjalnie wybranych chłopców i dziewczęta. Nadzór sprawowała organizacja partyjna (jak zresztą nad całością życia społecznego w Rzeszy) SA. Wy-



bierano do tego celu młodocianych, którzy szczególnie wyróżnili się w szkole i Hitler Jugend (Heim).

Udział w takim obozie był obowiązkowy, ale wybierano tylko najlepszych, którzy odbywali tam m.in. praktyki. W ten sposób wychowywano hitlerowską elitę. Takie obozy, podobne do radzieckich obozów pionierów, były liczne w III Rzeszy, a szczególnie na Dolnym Śląsku.”

Z czasów szkolnych pamiętam, że w nieznacznym oddaleniu od budynku szkoły znajdowały się małe groby, które jako uczniowie młodszych klas chodziliśmy

pielęgnować. Nie wiem czy pochodziły one z okresu przedwojennego, czy powstały w czasie II wojny światowej. To zagadka dla historyków. Podobnie rzecz ma się z pomnikiem w lesie za Gatkami - o którym wspomina D. Bielański. Napisał on, że poświęcony został poległym żołnierzom z czasów II wojny światowej. Na pewno rosyjskim, bo sam pamiętam, że zwieńczony był czerwoną gwiazdą. Natomiast na internetowych forach poszukiwaczy skarbów i odkrywców pomorskiej historii wyczytałem, że pomnik ten poświęcony był jeńcom z I wojny światowej. Rzeczywiście nie został on ujęty w naszej publikacji książkowej poświęconej dawnym miejscom pamięci o żołnierzach na terenie powiatu słupskiego, autorstwa Wacława Machury. Autor nie wykazał go w swoich zbiorach. Wymienił natomiast płytę kamienną z nazwiskami mieszkańców wsi poległych w I wojnie światowej, umieszczoną na postumencie z granitowej kostki i zwieńczoną figurą orła trzymającego w szponach wieniec żałobny z krzyżem. Podaje, że pomnik ten znajdował się obok cmentarza, w

amfiteatralnie ukształtowanym zagłębieniu terenu, otoczonym wałem ziemnym. Nie przypominam go sobie, choć wydaje mi się, że dobrze pamiętam poniemiecki cmentarz w Pobłociu z czasu, kiedy stała na nim jeszcze kaplica i było wiele rozpoznawalnych grobów. Widocznie pomnik ten musiał zniknąć wcześniej. Natomiast przypominam sobie, że sam ze szkołą w latach sześćdziesiątych chodziłem do lasu za Gatkami porządkować groby przy pomniku z radziecką gwiazdą. Dziś (choć tam niekiedy na grzyby) po grobach nie ma praktycznie już śladu, z pomnika też niewiele pozostało, choć jest on jeszcze wyraźnie widoczny. Nikt się tym miejscem już nie zajmuje.

Na marginesie mogę dodać, że W. Machura w swojej książce wymienia dobrze znany mieszkańcom

Pobłocia, Cecenowa i innych okolicznych wsi pomnik - obelisk przed kościołem w Cecenowie. Poświęcony jest on poległym w I wojnie światowej i wykonany został z jednej płyty kamiennej, wspartej na drobnych kamieniach tworzących podstawę. Pamiętam, że pomnik ten przez wiele lat był przedmiotem dociekania prawdy o nim przez mieszkańców wsi przychodzących co niedzielę na mszę do kościoła w Cecenowie i stawiających, zwłaszcza w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych ub. stulecia w jego bliskim otoczeniu rowery. Dziś dzięki W. Machurze wiemy, że treść

wyrytego na nim napisu brzmi: „Poległym bohaterom z naszej gminy, walczącym za Ojczyznę w Wojnie Światowej”, a wyryte na płycie nazwiska to polegli w I wojnie światowej na froncie zachodnim, wschodnim i ci, którzy zginęli w niewoli francuskiej. Nie pamiętam, żeby przez ponad 50 lat, jak długo bliskie i znane są mi te tereny, ktoś zainteresował się tym pomnikiem.

Najwięcej informacji internetowych przysłał mi D. Bielański na temat Słupskich Kolei Powiatowych SA (StKB). Warto przytoczyć kilka liczb. Długość wszystkich linii kolejowych przed 1935 rokiem wynosiła 126,81 km, łączna długość torowisk - 138 km. Właścicielami spółki były Prusy (14 proc udziałów), Pomorze (17 proc.) i Powiat Ziemi Słupsk (69 proc.). W 1929 roku Słupskie Koleje obsługiwały cztery linie, ale tylko jedna Klęcino-Dargoleza-Cecenowo pozostała linią wąskotorową. Pozostałe były liniami normalnotorowymi. Na wszystkich liniach kursowały zarówno pociągi osobowe, jak i towarowe. Obsługiwano linie: Słupsk-Budowo (37,73 km) - jeździły trzy pociągi parowe, Słupsk-Gąbino-Klęcino (34,73 km) - jeździły cztery pociągi parowe, Klęcino-Cecenowo (17,29 km) - jeździły dwa pociągi parowe, Gąbino-Ustka (22,43 km) - jeździły dwa pociągi parowe i Komnino-Smołdzino (14,10 km) - jeździły dwa pociągi parowe. Zarówno z Ustki, jak i z Komnina codziennie wracały pociągi parowe do stacji macierzystej Słupsk, więc z Gąbina do Słupska codziennie kursowało sześć pociągów w każdym kierunku. W 1931 roku walne zgromadzenie wspólników spółki zdecydowało o podniesieniu kapitału o 900 tys. marek z przeznaczeniem na prace przy poszerzeniu torów do rozmiaru normalnego na odcinku Klęcino-Dargoleza. W 1933 roku modernizacji poddano kolejny odcinek Dargoleza-Cecenowo. Po likwidacji kolei wąskotorowych w inwentarzu spółki pozostały: 3 parowozy dwuosiove, 3 wagony osobowe, 2 wagony bagażowe, 12 wagonów krytych, 17 wagonów platform, około 15,5 km kompletnego torowiska K15a, 1 kozioł zwrotnicy. W 1935 roku w spółce StKB pracowało 198 ludzi, obsługując: 11 parowozów, 3 wagony motorowe, 21 wagonów osobowych oraz ponad 40 wagonów towarowych różnego typu. Sieć miała łącznie 119 km, rocznie przewożono 330 tys. pasażerów oraz prawie 200 tys. ton towarów. Na liniach obsługiwanych przez transport samochodowy (Słupsk-Łupawa-Rokity - 49,7 km oraz Słupsk-Gogolewo - 34,3 km) kursowały trzy autobusy, przewożąc rocznie ponad 26 tys. pasażerów.

Zarząd kolei wymyślił na kursowanie pociągów dość ciekawy sposób. Niektóre z kursów, na przykład ten o 14.00 ze Słupska był organizowany w następujący sposób. Łączono ze sobą trzy wagony motorowe i taki skład ruszał w stronę Gąbina, gdzie odczepiano końcowy wagon. Dwa połączone wagony jechały dalej w kierunku

Komnina, natomiast pojedynczy wagon ruszał do Dargolezy. Podwójny skład dzieleno ponownie w Komninie i jeden jechał w kierunku Ustki, natomiast drugi w kierunku Smołdzina. W drodze powrotnej postępowano w odwrotnej kolejności.

Spółka miała także pomysł zbudowania kolei normalnotorowej w kierunku Łupawy, przebieg jej trasy był już dawno ustalony (planowano odgałęzić linię od linii Słupsk-Budowo i poprowadzić ją przez Głębino, Mianowice, Wieliszewo i Malczkowo do Łupawy. Miała ona mieć 28,8 km długości. Niestety wybuch II wojny światowej zniweczył te plany. Natomiast od 1938 roku na odcinku Słupsk-Dębica Kaszubska wprowadzono, poza rozkładem jazdy, przejazdy akumulatorowym wagonem motorowym. Ten dodatkowy kurs okazał się bardzo dochodowy, zwłaszcza po 1 grudnia 1938 roku, kiedy rozpoczęła nadawanie rozgłośnia radiowa Stolp w Dębicy Kaszubskiej. Akumulatory wagonu wystarczały na około pięciokrotne przebycia trasy - około 100 km, po czym musiały być naładowane. W czasie II wojny światowej pociągi nadal kursowały, chociaż ich rozkład jazdy został mocno zmieniony, gdyż na wielu liniach ruch mocno zmalał.

Co stało się po wkroczeniu Armii Czerwonej na pomorskie tereny - to już wiemy dobrze. Wszystkie urządzenia i szyny wraz z podkładami zostały rozebrane i wywiezione w głąb ZSRR. Do rozbiórek torowisk zmuszano nawet niemieckie kobiety. Tak skończyła się powiatowa kolej. Pozostały po niej tylko nasypy, w niektórych miejscowościach - budynki, które pełniły rolę stacji. Można gdzieś jeszcze odnaleźć też rampy, które ułatwiały załadunek i rozładunek wagonów towarowych.

Może to głupi pomysł, ale w dobie, kiedy powiat odpowiedzialny jest za transport zbiorowy i nie sprawdza się transport autobusowy, bo jest mało podróżnych i są kiepskie drogi, może warto byłoby wrócić do tanich kolei powiatowych? Nasypy do wielu miejscowości już są!

A co z prośbą D. Bielańskiego? Mogę tylko zapewnić, że przy następnych pracach nad publikacjami o słupskich zabytkach i miejscach pamięci postaramy się pamiętać o budynku szkolnym w Pobłociu i pomniku w lesie za Gatkami. Naszych Czytelników zachęcamy do opisanie nam innych zapomnianych zabytków i miejsc pamięci. Możemy obiecać, że najciekawsze opisy uhonorujemy powiatowymi publikacjami. Pan D. Bielański otrzymał już od nas album „Pałace i dwory na ziemi słupskiej” oraz m.in. publikację książkową „Dawne miejsca pamięci o żołnierzach na terenie powiatu słupskiego”. Teraz do kompletu otrzyma jeszcze „Dawne cmentarze w powiecie słupskim”, w opracowaniu Krystyny Palacz-Mazurkiewicz.

**Z. Babiarz-Zych
Słupsk**

Nie ma już mojej babci Cecyli, odešla dawno temu. Dawno - dziwne słowo, mówi o czymś co było, co jakby sen, jakby bajka, nie do końca prawdziwe, niekoniecznie pewne. Dawno to przeszłość, a przeszłość z kolei to historia, czasami tradycja, niekiedy niepewność, zwłaszcza gdy mówimy o czymś trudnym na przykład wojnie.

Dla mnie dawno to także wspomnienie. A o babci i dziadku tylko dobre wspomnienie, bo byli dla mnie autorytetami we wszystkim, nauczycielami życia, „cho-dzącymi księgami”, które na każdą okazję można było otworzyć i dowoli z nich czytać. Dziadek znał się na rybołówstwie, po nim pozostał mi w genach zapal wędkarski i umiłowanie przyrody. A babcia? Odkąd ją pamiętam, kojarzy mi się z bajkami, wierszami, dobrym jedzeniem i ciepłym rodzinnego domu; bezpieczeństwem pozwalającym dobrze się rozwijać, uczyć, dorastać.

Zatem dawno to czas moich dziadków; dobry czas, ale inny od tego, w którym teraz żyję, gdy ich już nie ma. Nie ma od wielu, wielu lat, które tak bardzo zmieniły naszą epokę - nasz czas, mój czas i twój czas czytelniku. Zmieniły we wszystkim.

Dawno, dzisiaj - czyli obecnie, i jutro - to znaczy w przyszłości pozostają pomostem przenoszącym nas przez dzieje (czas) - epokę życia ludzkości na ziemi. Stanowią łącznik wszystkiego, co już było, z tym co będzie.

Nauka tak dalece poszła do przodu, że dzisiaj nie mamy już złudzeń, iż przysłowiowa droga od Adama i Ewy została dla nas ściśle zaprogramowana, że podążamy szlakami utartymi przez poprzedników, że wszelkie odejście od wyznaczonych wzorców tworzy niebezpieczeństwa zagrażające ludzkości.

To nasi praojcowie przetrarli te szlaki, wybierając optymalne rozwiązania pozwalające żyć na tej przepięknej planecie jak dotąd nie mającej we wszechświecie sobie równych (choć akurat obecnie staje się najbardziej prawdopodobne, że naukowo jesteśmy już w stanie dowieść, iż istnieje wiele, bardzo dużo światów, planet podobnych).

Jeżeli powiem, to znaczy napiszę, że czasy moich dziadków były trudne, to nie odkryję Ameryki. Ale to stwierdzenie wymagać będzie wyjaśnienia. Bowiem co to znaczy czas trudny? Dla naszego minionego pokolenia znaczyło to czas, w którym ludzkość musiała przejść przez najokrutniejsze wojny, w którym się żyło w znacznie bardziej prostych warunkach, bez skomplikowanej techniki. W którym marzenia zawężone były do spełniania się podstawowych potrzeb: bezpieczeństwa, sytości, szczęśliwego wychowania dzieci. Historycznie przecież to był także czas komunizmu, zakłamania, totalitarnego zniewolenia przez system polityczny, jaki narzucono Polsce po II wojnie światowej.

Nasz czas

*Patrzę z niepokojem na nasz czas jak w teatrze
życia na leżący na stole pistolet*

Niewiele lat minęło, by ten czas zmienił się „nie do poznania”, by w życiu codziennym zastąpiła go epoka supernowoczesnych maszyn, technik użytecznych we wszystkich dziedzinach życia społecznego (zwłaszcza w komunikacji, przemyśle, nauce, medycynie), w zakresie wolności do nie ogarnięcia myślą nawet jeszcze kilkadziesiąt lat temu (głównie w zakresie otwartości na świat, możliwości podróży, otwierania się granic, mieszania się kultur) - zamiany świata w globalną wioskę, w której dzięki takim urządzeniom jak satelitarna telekomunikacja i Internet, wszyscy o wszystkim i o wszystkich mogą wszystko wiedzieć. Tajemnice stają się czymś niezrozumiałym, rozmowy nawet polityków na świecznikach rządowych można podsłuchać w najpodrzedniejszej knajpce, życie celebrytów już przestaje wszystkich zadziwiać i interesować jak kiedyś.

Postęp - zwielokrotniony przez czas postęp niesie dla ludzkości ogromne zmiany, które pchają ją w kosmiczne przestrzenie, które rokują dla niej warunki znane dotychczas jedynie z powieści fantastyczno-naukowych, obiecują życie niemal wieczne.

Moja małżonka, kiedy zaskakuje ją jakaś nowość, lubi często wzdychać: mój Boże, gdyby to moja babcia zobaczyła, przewróciłaby się w grobie. Zapewne kiedyś tak będą wzdychać również nasze wnuki, gdy już nas nie będzie.

Piękny zatem jest ten nasz czas. Piękny, a obawiam się także niepowtarzalny, chociaż także minie. Nastąpi po nim czas naszych dzieci, wnuków - czas, w którym oni będą mówić o nas, że żyliśmy w trudnych czasach bez czegoś tam, co dopiero oni odkryją, z czego dopiero im przyjdzie korzystać.

Jestem tego wszystkiego pewien i tylko jeden niepokój drzemie cały czas we mnie, gdy piszę ten felieton. To obawa o przyszłość i los naszych wnuków i prawnuków z powodu samounicestwienia się ludzkości poprzez wojny. To jednocześnie smak gorczy z powodu braku wystarczających działań zmierzających do przeżycia naszego słabego gatunku ludzkiego w pogarszających się biologicznie i chemicznie warunkach globalnego świata, którym nie potrafimy się przeciwstawić, których nie dostrzegamy - nie widzimy wystarczająco ostro.

Patrzę z niepokojem na nasz czas jak w teatrze życia na leżący na stole pistolet, co do którego zwykło się mawiać, że skoro położono go na nim w pierwszym akcie sztuki, to na pewno w trzecim, ostatnim zostanie użyty.

Po wielu latach od wojny światowej zatrzymany został światowy wyścig zbrojeń, podjęto wiele ważnych decyzji dotyczących zakazu produkcji i rozprzestrzeniania broni chemicznych i biologicznych, udało się ograniczyć prace nad bronią jądrową. I oto nagle wszystko to zaczyna ponownie walić się w gruzy. Wraca zimna wojna, Europie zagraża destabilizacja militarna z powodu konfliktu na Ukrainie i wojennej polityki Putina, w Afryce wzmagają się wojenne napięcia pomiędzy muzułmanami i mahometanami, szyici kontynuują walki religijne i plemienne, a świat coraz szerzej ogarnia terroryzm.

Mam zatem obawy o kolejne wojny. Brakuje zmian na lepsze w psychice człowieka, która tak silnie genetycznie powiązana jest z darwinowską teorią zachowania gatunku, że jak dotąd ani moi dziadkowie, ani my w swoim obecnym świecie nie potrafiliśmy jej

udoskonalić. Nie potrafimy zmienić filozofii ludzkiego życia (myślenia o życiu) na tyle, by ludzie nie zabijali się wzajemnie, by zaczęli wreszcie myśleć o przyszłości z troską o to, że skoro wszystko ma swój początek i koniec, zapewne i nasze życie na ziemi także kiedyś się skończy. Nie należy świadomie przybliżać tragedii owego końca zapisanego w psalmach apokalipsy. Nie należy sobie strzelać w stopę, gdy jeszcze tyle drogi przed nami.

Człowiek mógłby żyć o wiele szczęśliwiej, być zdrowszym i bogatszym, czerpać ze wszystkich dóbr nauki i wszystkiego, co planeta ziemia mu dała. Mógłby, ale musiałby odwrócić proporcje w myśleniu o przyszłości. Nie poprzez wojny, ale poprzez mądrość i miłość, na które przecież go stać, jak żadną inną istotę rozumną na ziemi.

Miejmy nadzieję, że gdy nasz czas minie, takim właśnie stanie się nowy czas - czas naszych wnuków.

Jan Stanisław Samalewski
Naćmierz



Polska racja stanu?

Po filmie o Katyniu sprawiedliwością dla pamięci narodowej byłby film o ludobójstwie na polskich Kresach



Fot. Sarnowski z kolekcji Henryka Słowińskiego. Fotografia z książki Ewy i Władysława Siemaszków pt. „Ludobójstwo” tom 2, str. 1294.

Wubiegłym roku, w rocznicę 70-lecia rzezi na Wołyniu, uczestniczyłem w lekcji historii na temat: „Rzeź wołyńska. Jak przezwyciężyć polsko-ukraiński konflikt” zorganizowanej przez Urząd Marszałkowski w Szczecinie. Była to lekcja dla trzech szkół średnich Koszalina. Zaproszono także mnie, aby młodzież na własne oczy zobaczyła starego już człowieka, który został kiedyś - jako kilkuletnie dziecko - wyniesiony przez matkę z płonącej wsi, spod siekier bandytów. (O tym w mojej książce „Galop do Wielkiego Lasu - Wołanie Wołynia”.) W czasie lekcji bardzo rzeczową pogadankę wygłosił prokurator koszalińskiej delegatury IPN. Młodzież lekcji wysłuchiwała w skupieniu.

Następnie zabrała głos przedstawicielka organizatora spotkania-lekcji. Powiedziała ona coś w tym rodzaju: kochane dzieci, to nie było zupełnie tak, Polacy także mordowali Ukraińców. Odpowiedziałem, że Ukraińcy także ginęli, ale z rąk swoich współbraci. Za to, że nie chcieli wstępować do zbrodniczej UPA, za to, że sprzyjali i chronili Polaków. Pracownica Urzędu Marszałkowskiego odpowiedziała coś niemrawo, teraz jakby trochę speszona. I tu nasuwają się refleksje.

Po co organizuje się podobne imprezy? Młode pokolenie Polaków podczas takiej lekcji miało przecież poznać prawdę o zbrodni wołyńskiej. Po wypowiedzi przedstawicielki Urzędu Marszałkowskiego uczniowie nabiorą przekonania, że na Wołyniu miała miejsce wzajemna rzeź między Polakami i Ukraińcami. Po prostu wyrzynali się wet za wet. (A tak właśnie wciąż głosi propaganda nacjonalistów Ukraińskich!) Czy organizatorom takich lekcji o taką prawdę chodziło? Ponadto młodzież może wysnuć wniosek, że nic się nie zmieniło. Słyszeli wiele o tym, że w PRL co innego mówiło się publicznie, a co innego prywatnie. Na domiar złego afera taśmowa potwierdza, że dziś nawet najważniejsi ministrowie co innego mówią oficjalnie, a co innego we własnym gronie. Nie dziwnym więc, że tak wychowywana młodzież może nas niejeden raz nieprzyjemnie zaskoczyć.

I czy, podobnie jak dawniej, teraz także organizuje się imprezy, aby je dla świętego spokoju po prostu „odfajkować”? Czy tak upowszechniana wiedza uzmysłowi naszej młodzieży prawdziwą groźbę i potworność, jaka była udziałem Polaków na Kresach? To tylko moje pokolenie rozumiało rodziców, gdy na dźwięk słowa UPA

żegnali się oni z lękiem. I ze strachem upominali dzieci, aby nigdy nie mówiły źle o banderowcach, bo usłyszą.

Czy można dziwić się Polakom z Wołynia, że do końca życia nie opuszcza ich straszliwa, nieodwracalna trauma? Podobnie jak nie opuszcza trauma rodzin pomordowanych w Katyniu.

Z ogromnym opóźnieniem zrealizowano wreszcie film o Katyniu, gdzie zginęło 25 tysięcy polskich oficerów. Jak dotąd nikt nie zapowiada filmu o masowych rzeziach na polskich Kresach podczas których zginęło około 150 tysięcy Polaków. W Katyniu zginęli inteligeni, na Kresach prości chłopcy, dzieci, kobiety i starcy. Jeden i drugi fakt był ludobójstwem. Mord każdego człowieka jest rzeczą straszną, a wobec śmierci wszyscy są równi.

Po filmie o Katyniu sprawiedliwością dla pamięci narodowej byłby film o ludobójstwie na polskich Kresach.

W czasie obrad polskiego Sejmu nad uchwałą dotyczącą 70. rocznicy rzezi na Wołyniu 148 parlamentarzystów Ukrainy Wschodniej nadesłało list. W liście tym parlamentarzyści wyznają, że ukrywanie prawdy nie jest drogą do pojednania, a mówienie o niej wbijaniem klina między naszymi krajami. Jednocześnie deputowani ukraińscy zwracają się z prośbą „o uznanie masakry wołyńskiej faktem ludobójstwa popełnionego przez OUN-UPA i potępienie przestępstw ukraińskich nacjonalistów”. I dalej w ich liście czytamy: „przymykając oko na zbrodnię, sami w ten sposób stajemy się jej współnikami”, a „bez przezwyciężenia nacjonalizmu ukraińskiego nad narodem Ukrainy zawiśnie groźba degeneracji”.

Dosadniej nie można powiedzieć. Jakże więc żenująco brzmi nasza uchwała sejmowa z oględnym sformułowaniem „o znamionach ludobójstwa”? I jakże swoim listem zawstydzają nas deputowani Wschodniej Ukrainy!

W kontekście tego listu trudno zrozumieć ministra Sikorskiego, który powiedział podczas obrad Sejmu: „Czy chcemy pomóc Ukraińcom radzić sobie ze swoją historią - tak jak oni to będą widzieć - nadmiernie przyspieszając ten proces, ich upokorzyć”. (Moja uwaga: Czy mówiąc o zbrodniach UPA kogoś upokarzamy?)

Tak, niepojęty jest fakt, że to zdanie mógł polski minister powiedzieć po liście 148 parlamentarzystów Ukrainy do naszego Sejmu, z którego zacytowałem tylko kilka zdań. Nie do przyjęcia jest pogląd, że szef Ministerstwa Spraw Zagranicznych nie znał tego listu. Trudno także w tym miejscu odrzucić obrzydliwe domniemanie, że listu tej treści ukraińskich deputowanych ktoś celowo nie udostępnił przed głosowaniem w Sejmie... Można przypuszczać, że wielu posłów głosowałoby inaczej znając zdecydowane zdanie 1/3 deputowanych Ukrainy! Dobrą zasadą w demokratycznym państwie, choćby w imię prawdy, byłoby szerokie upowszechnienie tego typu tekstów. Nie upowszechnienie tej wagi dokumentu ma znamiona zmanipulowanej afery politycznej.

Z listu deputowanych Ukrainy Wschodniej jasno wynika, że potrafią oni poradzić z historią. O cóż więc chodzi mini-

samego względu bez znaczenia jest jakże przychylny dla nas list aż 1/3 deputowanych Ukrainy. Bez znaczenia byłyby nawet najkorzystniejsze dla nas decyzje tej części Ukrainy. Dla polskiego rządu najważniejsza jest poprawność polityczna, czyli popieranie polityki USA wobec Rosji, którą gorliwie propagują nasze media, co więcej, tezy polityki Stanów Zjednoczonych w tej kwestii wygłaszają jako własne zdanie. A przy tym wydaje się, że tragiczny los narodu ukraińskiego jest mniej ważny.

Słowem, polskie władze wybrały Ukrainę Zachodnią, gdzie odradza się zbrodnicy nacjonalizm, gdzie, o zgrozo, zaraża się nim także młode pokolenie. Gdzie za poparcie przez nas pomarańczowej rewolucji stawiano pomniki potwornym mordercom Polaków!

Część Polaków boi się, czym Zachodnia Ukraina odwdzięczy się za poparcie Majdanu?

Oto nasza narodowa logika. Oto nasza racja stanu!

W odpowiedzi na, jakże żenująco stonowaną uchwałę polskiego Sejmu o rzezi wołyńskiej, w apelu Rady Obwodu Wołyńskiego czytamy o sobie: „czystką etniczną o znamionach ludobójstwa, Polacy zakwestionowali fundamentalne

Dlaczego i powyższego apelu u nas nie upowszechniono, jak przedtem pominięto milczeniem list 148 deputowanych Ukrainy Wschodniej? List, który najwłaściwszą drogą do prawdziwego pojednania?

Czy to możliwe, aby i to robiono w imię racji stanu?!

Czy także w imię polskiej racji stanu o ludobójstwie na Kresach mówiono w zeszłym roku tylko z okazji okrągłej rocznicy? I mówiono jakby mimochodem, wstydliwie, a co najbardziej przerażające, chwilami wręcz tchórzliwie. Czy w niedalekiej przyszłości zaczniemy bić się w piersi i przeproszać zbrodniarzy, że to tylko nasza wina, że daliśmy się mordować? Czy tak stanie się w imię polityki, którą teraz uprawiamy?

I refleksja ostatnia, najsmutniejsza. Obecnie rządzący nie dbając o pamięć narodową, lekceważą setki tysięcy niewinnie zamordowanych rodaków.

Wszyscy Ukraińcy, obywatele polscy, wypowiadający się w telewizji jakich słyszałem, uważają, że na Wołyniu nie było rzezi. I choć tak twierdzą, bądź co bądź, obywatele polscy, nie możemy się temu dziwić, jeśli Sejm Polski uznał tę rzeź tylko o znamionach ludobójstwa!

Jestem w trakcie gromadzenia materiałów do nowej powieści opartej na motywach ludobójstwa na Wołyniu. Uprzejmie proszę Czytelników „Powiatu Słupskiego” o informacje i wspomnienia na ten temat, a także o uwagi o powyższym artykule. Kontakt: 75-350 Koszalin 9, skr. poczt. 79, tel. 698-522-467, e-mail: artczes@wp.pl.

Czesław Kuriata, Koszalin

Czesław Kuriata, poeta, prozaik, publicysta, autor słuchowisk radiowych, urodził się w 1938 roku w rodzinie chłopskiej na Wołyniu, w Rzeczypospolitej Polskiej. Ukończył Uniwersytet im. A. Mickiewicza w Poznaniu; debiutował w prasie jako poeta w pamiętnym roku 1956, pierwszy tom jego poezji „Niebo zrównane z ziemią” (z przedmową J. Przybosia) ukazał się w roku 1961. W latach 1960 - 1984 pracował w Rozgłośni Koszalińskiej, od 1965 kierownik Redakcji Literackiej. Wchodził w skład kolegium koszalińskiego miesięcznika „Pobrzeże”, był członkiem redakcji tygodnika „Morze i Ziemia” w Szczecinie. Przygotowywał comiesięczny dodatek do „Głosu Koszalińskiego” „Magazyn Literacki” (1976 - 1980), w pierwszych latach dziewięćdziesiątych redagował czasopismo literackie „Arkona”. Dorobek pisarza to 28 książek, w tym trzy powieści: o ludobójstwie Polaków na Kresach Wschodnich „Galop do Wielkiego Lasu” (1965), wznowioną w 2005 roku wraz z poematem „Wołanie Wołynia”; wołyńsko-pomorską o osadnikach na Ziemiach Odzyskanych „Naprawdę już po wojnie” oraz o łagrze „Zorze archaniołskie” (1998, 2001, 2004).

strowi Sikorskiemu, gdy mówi o kłopotach Ukraińców ze swoją przeszłością?

Otóż minister Sikorski ma na myśli Ukrainę Zachodnią, bo to tylko ona ma kłopoty z historią. Niestety, obecne polskie władze zachowują się tak, jakby Ukrainy Wschodniej w ogóle nie było. A przecież to ona, zarówno pod względem obszaru, jak i ludności, jest sześciokrotnie większa od Zachodniej, a jej PKB dziesięciokrotnie wyższe! I to przecież ona, jak wynika z cytowanego listu deputowanych, rozumie naszą wspólną trudną historię.

Dlaczego więc władze polskie tak straszliwie lekceważą Ukrainę Wschodnią?

Otóż uznają ją za prorosyjską. A to największa hańba, większej nie ma. Z tego

prawo każdego narodu do samostanowienia i oporu wobec agresorów...” I na to już naprawdę nie ma słów! Na Wołyniu agresorami w stosunku do Ukraińców były polskie rodziny, w większości chłopskie, dzieci, kobiety i starcy! To one zagrażały niepodległości Ukrainy, więc należało wszystkich wymordować! I dalej, Rada Obwodu Wołyńskiego pisze, że naszą uchwałę napisano: „świadomie ignorując i przemilczając prawdę historyczną, masowe czystki etniczne ze strony polskich formacji zbrojnych...”

I to, straszliwe, cyniczne kłamstwo obrażające pamięć pomordowanych tysięcy naszych rodaków, polski rząd pominął milczeniem.



Nie wierzę w sens tworzenia historii alternatywnej. Dlatego najpierw fakty. Wszystkie niemal powszechnie znane, ponieważ działalność i poglądy księdza Jana Zieja zostały dokładnie opisane przez profesjonalnych historyków i dziennikarzy. Najobszerniejsza i ceniona jest monografia „Życie Ewangelią” w formie zapisu rozmów Jacka Moskwy z ks. Janem Zieją, która została wydana w 1991 roku w Paryżu w cyklu „Świadkowie XX wieku”.

Słupski historyk Zdzisław Machura w publikacjach „Cztery słupskie lata” (Słupsk 2006) i „Był tu wśród nas na słupskiej ziemi” (Słupsk 2007) opowiedział o posłudze ks. Jana Zieja w parafiach w Słupskiem w latach 1945 - 1949. Są to rzetelnie opracowane dokumenty uzupełnione szczegółowym kalendarium.

Kolejna publikacja to „Stoję na rynku nienajęty” - reportaż historyczny o księdzu Janie Zieju, otwierający książkę Magdaleny Grochowskiej „Ćwiczenia z niemożliwego” (Warszawa 2012). Charakterystyczny dla autorki jest sposób przedstawienia postaci - dynamiczny i polemiczny. Mniej uwagi Grochowska przywiązuje do chronologii, a zainteresowanie czytelnika kieruje na poglądy i sposób sprawowania posługi duszpasterskiej przez księdza Jana Zieję.

W ostatnim czasie powstaje kolejna publikacja na zamówienie Instytutu Pamięci Narodowej, a autorka, Joanna Kuciel - Frydryszak (m.in. Słonimski. Heretyk na ambonie) zbiera materiały do nowej książki. Publikacje o ks. Janie Zieju są poszukiwane i oczekiwane. Skąd takie zainteresowanie ubogim księdzem, który na próżno przez lata czekał na własną parafię? I nie doczekał. W liście do znajomej z czasów poleskich, współpracownicy okresu słupskiego, nauczycielki religii, zakonnicy z Lassek, Gabrieli Hołyńskiej pisał w 1965 roku: „Ja - stoję na rynku nienajęty”.

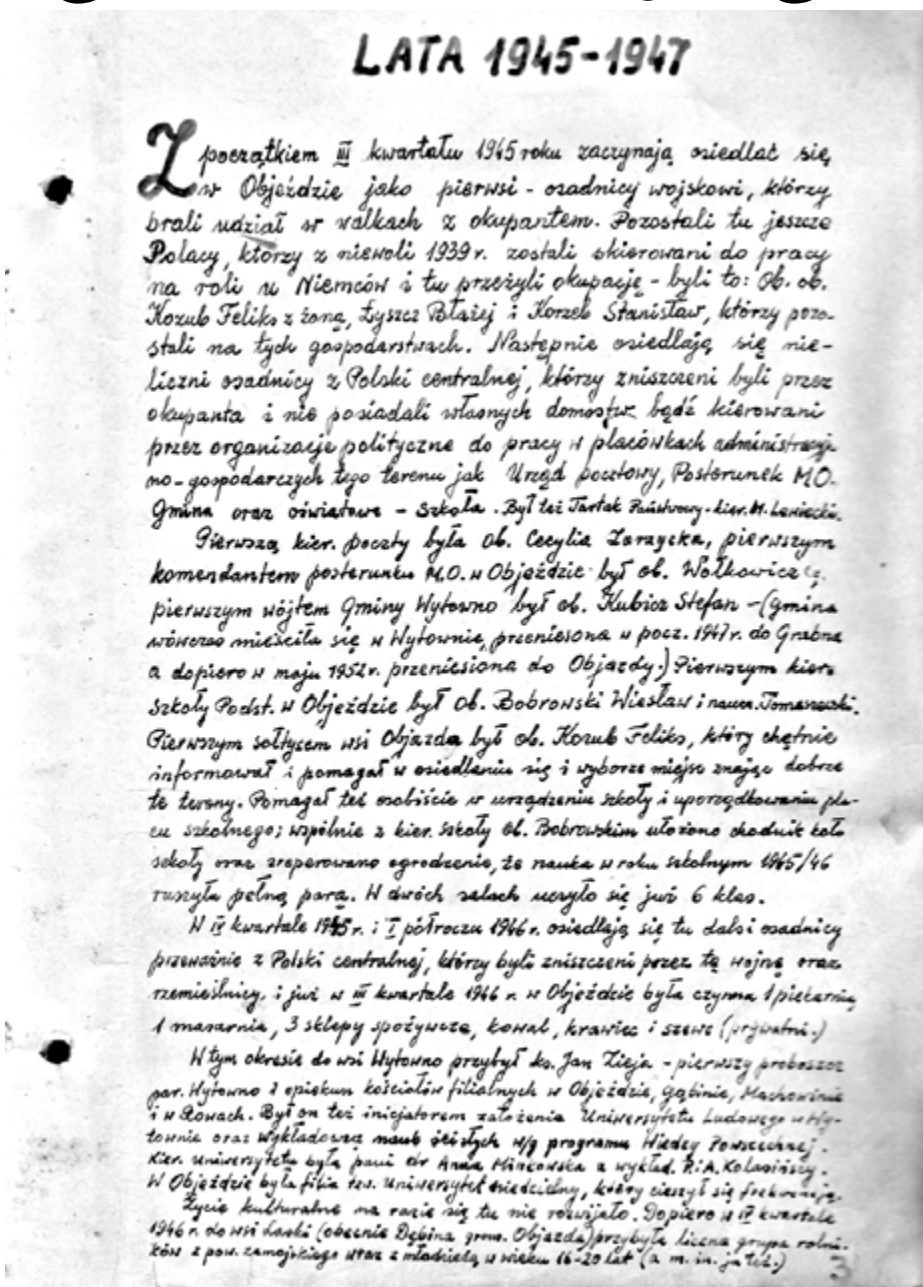
Może to dlatego, że przyjaźń ofiarowana prymasowi Stefanowi Wyszyńskiemu w momencie jego uwięzienia nie przetrwała zasadniczego sporu o kształt Kościoła w Polsce, ponieważ ksiądz Zieja złamał kanon bezwzględного posłuszeństwa, otwarcie wypowiadając swoje poglądy.

W liście z 19 czerwca 1957 roku prosił, by w centrum Nowenny był Chrystus: „Niech biskupi ofiarują naród Bożemu Sercu - niech ten akt trwa lata i niech zaowocuje miłością społeczną, wtedy będzie prawdziwy”. Uważał, że błędem będzie rozwijanie ludycznej pobożności. Podobnie z rezerwą odnosił się do sakralizacji polskości, co prymas Wyszyński akcentował w kazaniu z lata 1957 roku wygłoszonego w Zakopanem.

Magdalena Grochowska przytacza opinię dr Marii Wosiek, członkini KOR, KIK, współautorki i „Słownika biograficznego teatru polskiego”: „Wątek maryjny rodzaj napięcia między KIK-iem, „Więzią”, „Tygodnikiem Powszechnym” a Wyszyńskim. Maryjność miała mobilizować ruch ludowy

Publikacje o księdzu Janie Zieju są poszukiwane i oczekiwane. Skąd takie zainteresowanie ubogim księdzem, który na próżno przez lata czekał na własną parafię? I nie doczekał

„Ja - stoję na rynku nienajęty”



w oporze przeciwko komunizmowi. To było wojsko kierujące się emocjami i tradycyjną religijnością. Za tego typu populistyczną politykę płacimy koszty do tej pory.”

Autorka wypowiedzi uważa, że Radio Maryja jest naturalną ludyczną spuścizną kultu maryjnego.

Ks. Jan Zieja miał odwagę, wynikającą

z przekonania, wypowiedzieć swoje racje. Także wobec papieża. W liście do papieża Piusa XII, który ziemie przyłączone do Polski nazywa niemieckim Wschodem (marzec 1948), pisze: „Ale jeżeli jest w dziejach ludzkości ślad Bożej sprawiedliwości, to granica polsko-niemiecka stać będzie na Odrze i Nysie. I to będzie jedna z podstawowych skutecznych gwarancji pokoju między narodami europejskimi.”

Jaka byłaby historia alternatywna, gdyby...?

Gdyby ks. Jan Zieja 29 maja 1945 roku nie przyjechał do Słupska, gdyby 11 września 1945 roku administrator apostolski w Gorzowie, ks. prałat Edmund Nowicki nie mianował go proboszczem parafii miasta Słupsk i powiatu?

Gdyby 1 stycznia 1946 roku ks. Zieja nie został zwolniony z funkcji proboszcza przez ks. Nowickiego, a na jego miejsce Administrator Apostolski nazaczył ks. Karola Chmielewskiego?

Gdyby nie objął parafii w Wytownie?...

Ale wcześniej, w sierpniu 1944 roku kapelan, mjr ks. Jan Zieja, ps. „Rybak” z pułku Baszta z Mokotowa był powstańcem. W siódmym dniu powstania został ranny w nogę, ale mimo to sprawował duszpasterskie obowiązki.

„Na stanowisko dowodzenia przyszedł ksiądz Jan Zieja, dał żołnierzom wiatyk. Żołnierze otrzymali rozgrzeszenie. Tam, gdzie stali, przykłąkali i przyjmowali komunię świętą. To była szczególna okazja dla walczących o Warszawę, by znajdować się w stanie łaski uświęcającej. Z grupą żołnierzy przebiegali przez podwórko ogrodzone murem i zamknięte metalową bramą, gdy usłyszeli wybuch bomby lotniczej, której odłamki podziurawiły bramę jak sito. W momencie wybuchu Paweł dał rozkaz: - Padnij! I w tym momencie poczuł szarpnięcie w lewej nodze. Noga zdrętwiała natychmiast, a but był przecięty kawałkiem rwanego metalu pochodzącego z bomby. Krwi nie było widać, więc Paweł ostrożnie ruszył palcami u zdrętwiałej nogi. Po przecięciu skarpety okazało się, że odłamek nie uszkodził nogi, skóra była nienaruszona. Skończyło się na siniaku.”

- „Soli Deo gloria!”

Trudno nie wierzyć, że wówczas ks. Zieja poznał Pawła Kolasińskiego, ps. Rom, żołnierza pułku Baszta na Mokotowie. Znajomość będzie miała ciąg dalszy. Tymczasem powstanie dogorywało, a powstańcy opuszczali zniszczone miasto.

Ksiądz Jan Zieja w porozumieniu z władzami AK udał się na Pomorze Zachodnie, aby tutaj od 13 listopada 1944 roku do 3 maja 1945 służyć posługą duszpasterską Polakom wywiezionym na przymusowe roboty. Jego kapłańska droga wiodła przez: Braunsberg (Braniewo), Frombork, Bromberg (Bydgoszcz), Gotenhafen (Gdynia), Martensdorf. Stralsund i Barth oder Ostsee. W grudniu 1944 roku będąc na robotach

przymusowych w Niemczech w okolicach Barth (na południe od wyspy Rugii) pod wpływem bolesnych obserwacji, nakreślił zarys swej pracy duszpasterskiej. Po przybyciu do Słupska w końcu maja 1945 roku



i utworzeniu przy kościele św. Ottona wzorowej parafii katolickiej, z determinacją rozpoczął tworzenie domu świętego macierzyństwa, czyli Domu Matki i Dziecka.

Przybywali nowi mieszkańcy do miasta i okolic. Z PUR-u dostawali adresy, bywało wychodzili rano, wracali wieczorem i przynosili torby owoców. Opowiadali, że niektóre drogi obsadzone są drzewami owocowymi i o tym, że okolica jest piękna, ale niebogata. - Mamusia pilnowała bagaży, a ja chodziłam po Słupsku. Byłam świadkiem ekshumacji grobów w parku przy ulicy Partyzantów - wspomina mieszkanka Objazdy, słuchaczka Uniwersytetu Niedzielnego ks. Ziei, Henryka Maria Cieślík, wówczas Grabowska.

Wielu słupszczan przybyło z Warszawy po upadku powstania. 15 września 1946 roku w Słupsku odsłonięto pierwszy w Polsce pomnik Powstańców Warszawy, którego autorem był Jan Maleta. Przewodniczącym szesnastoosobowego Komitetu Budowy Pomnika został Edward Łada-Cybulski, ale jednym z inicjatorów powstania pomnika był ks. Jan Zieja.

Wprowadzie Zdzisław Stankiewicz w publikacji „Był taki ksiądz” stwierdza, że nie ma dokumentu potwierdzającego tę wersję, natomiast uznaje zaangażowanie ks. Ziei w lokalizację pomnika.

W styczniu 1946 roku proboszczem w Słupsku z dwoma wikariuszami został ks. Karol Chmielewski, a ks. Zieja posłusznie przyjął decyzję Administratora, opuścić słupską parafię, chociaż prosił o

wikarych do pomocy, a nie zmianę parafii. Aby ocalić Dom Dziecka, zgodził się na jego upaństwowienie, natomiast idea Uniwersytetu Ludowego pozostała w realizacji.

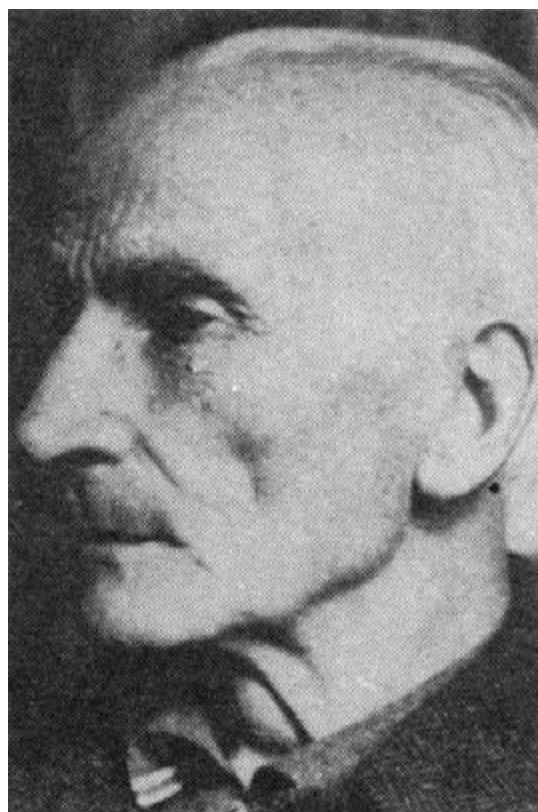
3 kwietnia 1946 roku ks. Jan Zieja został proboszczem w Wytownie. Na początku października tego roku „ks. Zieja ze swym zespołem wykładowców zaczął przygotowywać jesienny kurs Uniwersytetu Ludowego, tym razem w Wytownie.”

Z Podgórza spod Łomży przyjechali Zaczekowie i Kalistowie. W Objeździe Stanisława Zaczekówna spotkała Olka Kalistę, sąsiada z Podgórza. Niedawno przez lasy Syberii, Uzbekistan, Kazachstan, wreszcie szlakiem bojowym II Armii wrócił z zesłania. Mieli za sobą podobne doświadczenia przymusowej pracy w nieludzkich warunkach. Dobrze się rozumieli. Pobrali się 7 września 1947 roku, a małżeństwo pobłogosławił ks. Jan Zieja.

W tym samym czasie przez punkt repatriacyjny w Łodzi do Objazdy (wówczas Wobesde) w okolicach Słupska przybyli Jadowiga i Albin, niedawni przymusowi robotnicy rolni spod Stralsund, bo nie było Polski tam, gdzie zostały ich rodzinne domy. Kiedy w domku na końcu wsi na świat przyszła ich piękna, zdrowa córeczka, ks. Jan Zieja objął parafię w Wytownie. Kapłan idący jak oni wojennym szlakiem, ochrzcił i obdarował katechizmem z dedykacją ich dziecko. W Objeździe osiedlili się na stałe, ks. Jan Zieja nie zatrzymał się na długo, powędrował dalej, tak widać musiało być.

Roman Zub w „Kronice Objazdy” zanotował właściwie na ten temat dwa zdania, które stały się pretekstem tej opowieści.

„W tym okresie do wsi Wytowno przybył ks. Jan Zieja - pierwszy proboszcz



Fot. wikipedia.org

parafii Wytowno i opiekun kościołów filialnych w Objeździe, Gąbinie, Machowinie i w Rowach. Był on też inicjatorem założenia Uniwersytetu Ludowego w Wytownie oraz wykładowcą nauk ścisłych wg programu Wiedzy Powszechnej. Kierownikiem Uniwersytetu była pani dr Anna Minkowska, a wykład(owcami) P. i A. Kolasińscy. W Objeździe była filia, tzw. Uniwersytet Niedzielny, który cieszył się frekwencją."

Niedzielny Uniwersytet w Objeździe działał od listopada 1946 roku do maja 1947, w każdą niedzielę po mszy w szkol-

oraz Zdzisław Machura w publikacji „Był tu wśród nas na słupek ziem”. Państwo Kolasińscy, oboje utalentowani muzycznie, uczyli młodzież śpiewu, w tym hymnu wiciowego ze słowami Stanisława Młodożeńca:

*Do niebieskich pował, od gród czarnej ziemi
Niech się sztandar nasz wiciowy kolorami mieni.
Na sztandarze naszym skrzy się piękno świata
Wyszedł swymi kolorami chłopskie dusze bratać.*

Koło „Wici” w Wytownie powstało z inicjatywy ks. Zieja, który został jego członkiem i przewodniczącym. To zaniepokoiło ks. prałata Nowickiego, ale uznał raczej księdza, natomiast wiciowcy, między innymi wystąpieniem Stefana Ignara na swym zjeździe, odnosili się do księdza Zieja nieufnie, czasem wrogo.

Prócz państwa Kolasińskich uczących poza śpiewem geografii, astronomii, li-

teratury, wykłady z historii prowadziła dr Anna Minkowska, pozostając z Pawłem i Aleksandrą Kolasińskimi w zażyłości, o czym świadczyć może jej obecność na uroczystości I Komunii św. syna Janusza.

uniwersytecką młodzieżą. Przyszłość wiązali ze szkołą, ponieważ oczywista stała się możliwość objęcia szkoły przez pana Kolasińskiego po odchodzącym ze stanowiska kierownika szkoły panu Turzyńskim.

Państwo Kolasińscy zamieszkali w Wytownie. Jakie byłyby losy rodziny, gdyby nie odpowiedź obecnością na wezwanie ks. Jana Zieja? Na pewno na końcu swej drogi nie czuli się spełnieni, mimo zaangażowania w pracę w szkole, uczestnictwo w życiu religijnym, pomoc mieszkańcom wsi. Byli ludźmi dawnego świata, wierni wartościom i zasadom. Na pewno na karierze Pawła Kolasińskiego zaważył AK-owski epizod i nieprzynależność. Do tego doszły nieporozumienia z kolejnym proboszczem, związane z zamianą budynków szkoły i plebanii. W pewnym momencie czuli się opuszczeni i osaczeni.

A pamiętali jeszcze czas, kiedy przyjeżdżali do ks. Zieja do Wytowna goście z wielkiego świata: Anna Iwaszkiewiczowa, żona Jarosława, przyjeżdżał Jerzy Zawieyski, Bolesław Piasecki. Wydawało się, że idea egalitaryzmu chrześcijańskiego staje się rzeczywistością. Przed wyborami do sejmu w 1947 roku ks. Zieja uczestniczył w wiejskim zebraniu w Wytownie. Już wtedy stało się jasne, że zwycięży blok partii z PPR.

W połowie 1949 roku chory na płuca ks. Zieja wrócił do Warszawy, opuścił Wytowno, Objazdę, Orzechowo. Wszystkie plany trzeba było zweryfikować, poddać przymusowi kompromisu. Entuzjazm pierwszych powojennych lat gasł. Ludzi



Fot. Archiwum Autora

nym budynku tuż obok kościoła. Z Wytowna z wykładami - saniami bądź furmanką - przyjeżdżali Anna Minkowska i Paweł Kolasiński, rzadziej Aleksandra Kolasińska ze względu na odmienny stan. W prace Uniwersytetu Niedzielnego zaangażował się również nauczyciel szkoły w Objeździe Wiesław Bobrowski.

Czas wrócić do powstańczego wątku, w którym wielka historia pisała losy konkretnych osób. Właściwie od Powstania spletały się losy ks. Zieja oraz Pawła Kolasińskiego i jego żony Aleksandry. Powstańczy epizod ukształtował życie całej rodziny: rodziców i pięciorga dzieci. Piszę o tym uczeń szkoły w Wytownie, Tadeusz Widny oraz syn Aleksandry i Pawła Kolasińskich - Janusz.

„W roku 1946 powstaniec warszawski z Mokotowa, podchorąży Paweł Kolasiński „Rom” z krakowianką - żoną Aleksandrą (Rybianką) Kolasińską przyjechali do Wytowna (wtedy jeszcze niemieckiej wsi Weitenhagen. Przyjazd ten był na życzenie księdza Zieja.”

Paweł Kolasiński zaangażował się w sprawy kościelne, pozostając przez lata organistą w kościele w Wytownie, także wtedy, gdy ks. Zieja wyjechał z parafii.

Osobistą znajomość Pawła Kolasińskiego z ks. Janem Zieją, syn Janusz we wspomnieniu o ojcu potwierdza Zaświadczeniem z 1990 roku.

O zaangażowaniu państwa Kolasińskich w sprawy Uniwersytetu Ludowego pisze Roman Zub w „Kronice Objazdy”



Fot. J. Maziejuk

Kiedy wiosną 1947 roku coraz wyraźniej rysowała się konieczność opuszczenia Wytowna, ks. Jan Zieja zorganizował zebranie, by przedstawić problem. Na stałe we wsi mieli pozostać państwo Kolasińscy, im ks. Zieja powierzył opiekę nad

pochłonięta codzienność. Mimo to umieli znaleźć czas i sposoby, by się poznawać w zabawie, tworzeniu, pracy. Opisy odnajdziemy w „Kronice” wiejskiego bibliotekarza Romana Zuba.

Czesława Długoszek, Objazda

Malarka znad jeziora Gardno

Margarete Neuss-Stubbe nazywana jest malarką znad jeziora Gardno. Była obdarzona talentami - plastycznym i muzycznym, które rozwijała w Szkole Rzemiosła Artystycznego w Berlinie oraz u znanych artystów - Emila Orlika, Emila Rudolfa Weissa oraz u pianistki Charlotte Kaufmann

Zyla w latach 1895 - 1978. Zaraz po studiach wzięła udział w plenerach malarskich w Rowach i - obok Maxa Pechsteina - w pierwszej wystawie Słupskiego Stowarzyszenia Sztuki. W 1919 roku wyszła za mąż, a trzy lata później rozstała się z mężem i zamieszkała z córeczką u dziadków w Smołdzinie.

W 1927 przeprowadziła się do małego drewnianego, ale własnego domu na południowym brzegu jeziora Gardno, do Wysokiej. W 1932 domek spłonął, a malarka w tym samym miejscu zbudowała nowy, solidniejszy dom. Mieszkała w nim do roku 1947.

Malowała pejzaże, martwe natury, kwiaty, rzadziej portrety. Wszystkie, jak stwierdzają ówczesni krytycy, z „cierpką nutą”.

Język malarstwa nie uznaje granic etnicznych, terytorialnych, czasowych. Jedyną miarą odbioru jest wrażliwość na barwę, kształt, światło. W obrazach Margarete Neuss-Stubbe jest jeszcze jeden element - znajomy pejzaż. Utrwalała na obrazach widoki jeziora Gardno, nadbałtyckich wydm, okolicznych domów i piwniczek trzcinowych, zwanych „puppe”, jakby ów artystyczny rejestr był zapisem osobistego przywiązania, a jednocześnie smutnej historii.

Mnie zainteresował epizod związany z jej życiem. Na pewno nie bez znaczenia był tu wyrok Jałty, którego doświadczyli również Niemcy z Pomorza po drugiej wojnie światowej. Kiedy wkroczyli Rosjanie - zapewne dla zarobku, a i bezpieczeństwa - Margarete portretowała radzieckich oficerów i ich żony. Również w tym czasie na zlecenie polskiego księdza namalowała wizerunek Matki Bożej oraz świętego Antoniego do kościoła w Gardnie Wielkiej.

Obrazy wisiały w kościele do lat sześćdziesiątych ub. wieku.

Podobny epizod artystyczny w Łebie miał Max Pechstein, autor „Madonny Orędowniczki Rybaków”. „Matka Boska z Dzieciątkiem” Margaret Neuss-Stubbe z 1947 roku oraz „Św. Antoni” - oba obrazy zaginęły. Wtedy ktoś odkrył, że są w kościele w Gąbinie, czyli kościele filialnym parafii gardneńskiej. Oba zostały wystawione na wystawie „Margarete Neuss-Stubbe. Malarka znad jeziora Gardno” zorganizowanej najpierw przez Muzeum Pomorza Środkowego w Słupsku w maju i czerwcu 2004 roku, a następnie przez Muzeum Wsi Słowińskiej w Klukach - Oddział MPŚ w Słupsku na przełomie lutego i marca 2005 roku.

Muzeum Piśmiennictwa i Muzyki Kaszubsko-Pomorskiej w Wejherowie w 2004 roku zorganizowało wystawę „Pejzaż pomorski w malarstwie Margarete Neuss-Stubbe i Mariana Mokwy”.

Po wysiedleniu w 1947 roku malarka mieszkała w Harz, a od 1955 roku w Wiesbaden. W tym czasie wiele podróżowała. Zmarła w 1978 roku w Wiesbaden.

Czesława Długoszek, Objazda

Tekst i scany reprodukcji na podstawie: Edda Gutsche: „Malarze, miejscowości i widoki Pomorza Zachodniego w pierwszej połowie XX wieku”, część I. Wydawnictwo Jasne 2010.

1. „Dom pod strzechą z trzcinową piwniczką”, olej, płótno, 50,5x60,5 cm. Muzeum Pomorza Środkowego w Słupsku. Fot. Z. Pacholski; 2. „Chata na brzegu”, olej, płótno, 55x65 cm, j.w.; 3. „Ujście Łupawy w Rowach”, olej, płótno, 62,5x99,5 cm j.w.; 4. „Śluza w Smołdzinie”, olej, płótno, 55x65 cm, j.w.; 5. „Dom dziadków”, olej, płótno, 59x69 cm, j.w.; 6. „Widok z jeziorem Gardno i Bałtykiem”, olej, płótno, 59x74 cm, j.w.





Wieś kulturą darząca

Motto? „Jeżeli kocham Słupsk, to dlatego, że tu dzieje się wiele rzeczy takich, no... - szukała najtrafniejszego słowa - ... ponad dziesięcioletni kawałek chleba” (Maria Szypowska, „Powrót Julii”, wyd. Pojezierze 1977). Przywołany zapis odniósłbym - żadna emfaza - i do sąsiadującej z grodem nad Słupią ziemi, której jak pamięcią sięgnąć włodarzem jest Leszek Kuliński

Wójt L. Kuliński gościł mnie w związku z niedawnym benefisem pracy twórczej. Oto co zanotowałem po tzw. spotkaniach autorskich.

W bibliotece

Działu równo 65 lat. Księgozbiór: 12,8 tys. woluminów (z filiami w Kwakowie, Sycewicach i Wrzącej - 38 020). Według szefowej placówki Barbary Jęchorek - mniej niż kiedyś, ale za to bez wstydliwych nierzadko bubli. Rekompensują większość strat donatorzy z Biblioteki Narodowej, Miejskiej Biblioteki Publicznej, Starostwa, Urzędu Gminy (20 000 zł), kobylnickich sołectw, grup spontanicznych darczyńców i - tak, tak - sam wójt (uświadczyłem osobiście; JRL). Coraz większym zainteresowaniem cieszy się zestaw audiobooków, tj. książek na płytach odtwarzanych z reguły przez aktorów o co bardziej „nośnych” nazwiskach.

Czytelnicy. Jest ich obecnie 874. W przeważającej mierze w grę wchodzi ewidentne „mole książkowe”. Ot, na przykład: Helena Budlewska, Kazimiera Dębińska, Helena Klinger, Janina Kud z Kobylnicy, Natalia Chałon, Halina Liss, Ewa Szkrawan z Kwakowa, Natalia i Sylwia Żulińskie z Sycewic, Maria Jopek z Wrzącej. Albo całe „kręgi rodzinne” Lepiszków, Regentów (po 3), Fijołków, Windorbskich (2) etc. Godzinami przesiadują w Gminnej Bibliotece Publicznej i w jej filiach!

Wydawnicze hity? Wśród dorosłych - poza, rzecz jasna, klasyką - sensacje,

horror, kryminały, „babilony” (książki dla kobiet); nadto - autobiografie celebrytów, „obiegowa” literatura polska. U młodzieży - fantazy, horror (opowieści - dreszczowce o wampirach!).

Miejscowi pisarze w zasobach bibliotecznych pani Barbary: Marta Aluchna-Emelianow („Popiół i proch”, „Świta dzień”, „Wiem i nie wiem”, „Wiersze wybrane”), Leszek Bakula („Czarny” i „Biały bór”, „Wydmuchrzyca”, „Wizna”, „Wiersze”), Jerzy Dąbrowa-Januszewski („Pożegnania i powroty”, „Jesień Anny”, „To miejsce”, „Wiatr”, „Latawce”), Zygmunt Flis („Wybór wierszy”; jeden, lecz... w 2 egz.), Jerzy Fryckowski („Zanim zapomnisz”), Henryka Jurałowicz-Kurzydło („Księżyc kładzie garść światła”, wyd. sumptem Starostwa), Barbara Kosmowska („Teren prywatny”, „Bobo”, „Gobelin”, „Hermanice”, „Niebieski autobus”, „Prowincja”, „Pozłacana rybka”, „W górę rzeki”), Jan Ryszard Kurylczyk („Jeruzalem, Jeruzalem”; tylko niestety), niżej podpisany („Pomorskie uroczyska. Między Słupią, Łebą i Brdą”, „Żywa legenda regionu nad Słupią”, „Słupscy pisarze, których nie ma już wśród nas”, wyd. - ceniony słupski Grawipol), Anna Łajming („Symbol szczęścia”; jedynie to...), Daniel Odija („Tartak”, „Ulica”, „Szklana huta”), Andrzej Turczyński („Bezmiar” - 2 egz., „Kobieta z mieczem w czaszce”, „Lustro weneckie”).

Szkoda, wielka szkoda, że poprzedniczkom dyrektor Jęchorek „zginęli z pola widzenia” nieżyjący od dość dawna

prominenci tutejszej i ogólnopolskiej literatury - Zbigniew Bieńkowski i Anatol Ulman czy Stanisław Misakowski i Anatóliusz Jureń. Z żyjących zaś - poeci Mirosław Kościński (wiceprezes ZO ZLP), Halszka Olsińska (od paru lat z mężem Andrzejem Turczyńskim w Koszalinie), Tadeusz Pawlak (senior) i prozaicy Jolanta Nitkowska-Węglarz (23 publikacje książkowe, w tym 2 w tłumaczeniach na języki obce!), Zbigniew Zielonka (piewca Opolszczyzny i w ogóle śląskości).

Najbardziej poczytni autorzy książek figurujących w zasobach Gminnej Biblioteki Publicznej. W kolejności jak wyżej: L. Bakuła, B. Kosmowska („wschodząca gwiazda”), J. R. Kurylczyk, niniejszy publicysta, D. Odią. Nadto uczestnicy spotkań „za między”: Magdalena Omilianowicz („Fakt autentyczny”, „Kalejdoskop” I i II, „Zakochani”; ogromne wzięcie!) i Ryszard Ulicki („Album zwierzyny dzikiej, domowej i łonowej” plus w prezencie od nas: „Moje miasto. Listy do żywych i umarłych”, „I ciągle jeszcze idę” - poezje, „Skandal sezonu” - proza „dobrej próby” AD 2003).

Tako - wzorem „Zaratustry” - orzekli bez jakichkolwiek wahań najczęstszy bywalcy tête-à-tête z ludźmi pióra we wspomnianej wiosce: Władysława Jórzykowska, Lucyna i Henryk Klatkowie, Bożena Sykuła.

Chwalili też eksponowane u pani Basi, zarazem najczęściej przeglądane pisma: „Kurier Sołecki”, „Powiat Słupski” (z dodatkiem literackim) i wydawany w Koszalinie (przy wsparciu ZG ZLP) „Miesięcznik Społeczno-Kulturalny”. Nic dodać, nic ująć. Bo - taka prawda - cieszy redakcyjne serca z obydwu stron wojewódzkiej „miedzy”.

Taakie centrum kulturalne

Biblioteka, o której mowa, znajduje się w Gminnym Centrum Kultury i Promocji.

Od trzech i pół roku. Wtedy bowiem „wygospodarowano” jej miejsce w rzeczonym kompleksie administracyjno-kulturalnym (siedziby Policji, Straży Gminnej, Ośrodka Pomocy Społecznej oraz Gminnej Biblioteki Publicznej i Centrum) na obrzeżach ulicy Wodnej.



Fot. J. Maziejuk

Zainicjował tę ogromną inwestycję wójt Kuliński pospołu z Radą Gminy w pierwszych dniach 2010 roku. Dwanaście miesięcy później wszystko było już gotowe. Błyskawiczne - ani chybi - tempo budowy.

Jeśli chodzi o Centrum. Według informacji, których udzielił nam dyrektor Marcin Świder, obiekt z kubaturą 12.413 metrów sześciennych liczy w sumie aż 1,1 tys. metrów kwadratowych powierzchni użytkowej. Stawiając przysłowiową kropkę nad „i”: dysponuje bardzo nowocześnie wyposażonymi salami i pracowniami-warsztatami (15!) twórczości plastycznej, edukacji teatralnej, zajęć muzycznych i muzyczno-ruchowych (break dance, fitness/zumba) oraz z takich dziedzin jak języki obce, logopedia,

estradom w kraju. Przesada? Bez tej klasy multimedialnego sprzętu nagłośnieniowego i oświetleniowego - nie mam cienia wątpliwości - trudno sobie wyobrazić tyle świetnych koncertów, spektakli i widowisk taneczno-kabaretowych z udziałem takich gwiazd estrady, jak na przykład: Alicja Majewska, Halina Mlynková, Joanna Szczepkowska, Hanna Śleszyńska, Ania Wyszkoni, Piotr Gąsowski, Włodzimierz Korcz, Zbigniew Wodecki, Jacek Wójcicki albo Kapela Wileńska, zespoły: Bracia, Pectus, Tercet czyli Kwartet.

Że w podosteckiej Dolinie Charlotty jawią się daleko znamienitsze gwiazdy - Santana, Bob Dylan? Tam działa na wskroś komercyjny czynnik, który po sezonie letnim ratuje się z opresji mistrzostwami w... barbecue, wodnymi safari (?) etc. Placówką M. Świdra rządzą całkiem inne prawa. Musi gospodarować w ramach własnych środków budżetowych. Z uwzględnieniem wielu „zewnątrznych źródeł”, w głównej mierze Programu Rozwoju Obszarów Wiejskich. Efekty?

Ot, na przykład. Disco Hit Festival - najgłośniejszy przegląd muzyki dance i disco polo w Polsce. Z obsadą, rok w rok, kilkadziesiąt zespołów tego modnego i - jak się okazuje - wiecznie młodego nurtu muzycznego. Dzięki krajowym mediom gromadzący około 15 tys. fanów przed sceną i miliony przy telewizorach. Co z kolei powoduje, że - za sprawą „rozmuzykowania”,



Fot. J. Maziejuk

jako też kabaretów, konkursów piękności i... lokalnych kuchmistrzów - Kobylnica staje się wakacyjnym „księstwem lub szejkatem dance music”.

Festiwal Kultur - doroczne wrześnie-
we spotkanie artystów amatorów - przed-
stawiciele mniejszości narodowych i grup
etnicznych z Polski i z zagranicy, wykonaw-
ców muzyki ludowej i klasycznej. Wśród
nich - kobylnickie AleBabki, El Senior.

Biesiada z Folklorem - trwający dwa
dni międzynarodowy przegląd zespołów
folklorystycznych z różnorodnych skupisk
ludności. Pod patronatem tzw. Małych Pro-
jektów w Programie Rozwoju Obszarów
Wiejskich.

Festiwal Teatralny ph. Multi Culti - je-
go pierwszorzędnym celem: budowanie społe-
czeństwa obywatelskiego poprzez integra-
cję młodych (10-16 lat) mieszkańców Pol-
ski, Czech, Słowacji i Węgier. Drogą - łatwo
chyba dopowiedzieć - spektakli 20-osobo-
wych zespołów z państw Grupy Wyszeh-
radzkiej. Wieńczy je „Spektakl czterech kul-
tur” w aranżacji kobylniczanina Dariusza
Narlocha, pod auspicjami International Vi-
segard Fund.

Placówka, której szefuje tryskająca
energiją i pomysłowością czterdziestolatek
pan Marcin, wnosi również spory wkład w
organizację Swin Town - „pilotowanego”
przez wójta symposium o tematyce energii
odnawialnej pt. „Energia słoneczna, wiatro-
wa, gaz łupkowy czy atom? Nasza energe-
tyczna przyszłość czy zagrożenie?” z udziałem
przedstawicieli dziesięciu miast i gmin
z ośmiu państw Unii Europejskiej (Durbuy
- Belgia, Orimattila i Uusikaupunki - Fin-
landia, Valga - Estonia, Valka - Łotwa, We-
issenburg - Niemcy, Tvrdosin - Słowacja,
Östhammar - Szwecja oraz Kobylnica i Ko-
ścielisko ze strony Polski).

Kolejna edycja spotkania w ramach
Swin Town - ze wsparciem Programu „Eu-
ropa dla obywateli Unii” - zakończyła się
onegdaj w Valga i Valka.

Co warte szczególnej uwagi: Wszyst-
kie reprezentowane tam miasta i gminy,
prócz borykającej się z kłopotami finanso-
wymi Uusikaupunki, zawarły porozumienie
o długoletnim partnerstwie. Wójt Kuliński
żywi nadzieję, że wkrótce dołączą do tego
grona gospodarze Batonytereny na Wę-
grzech, gdzie bawił niedawno z kilkudnio-
wą wizytą.

ltd. itd.

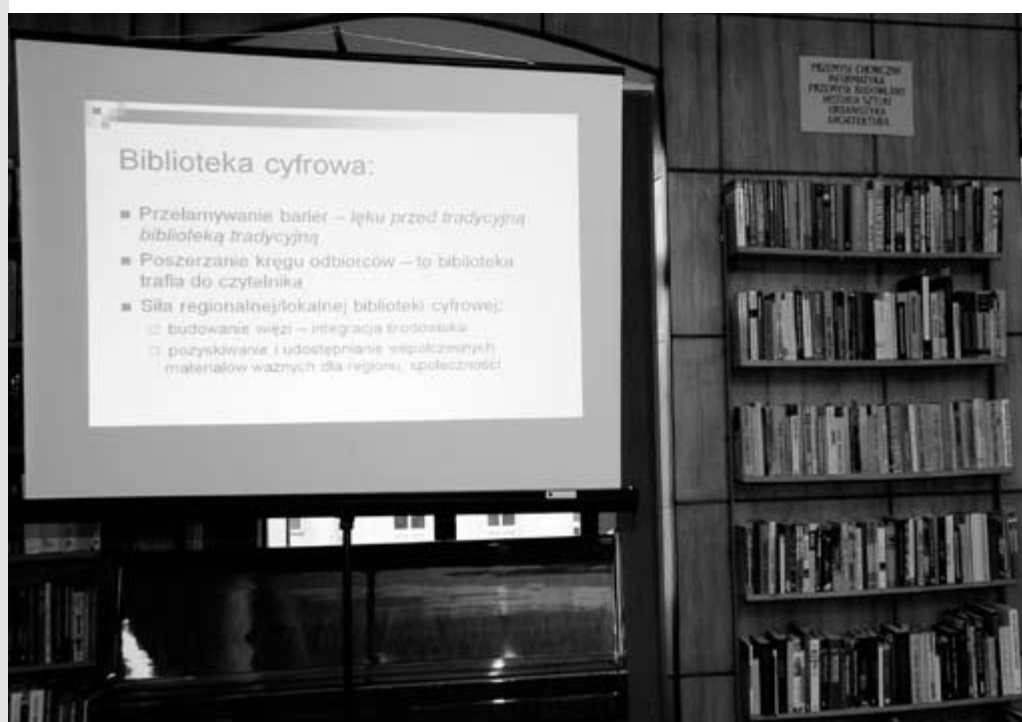
Tytułowa wieś darząca kulturą będzie
tedy spełniać pomienioną rolę w jeszcze
większym stopniu. Głównie - oczywista -
za pośrednictwem pasjonatów z Wodnej i
dwunastu podopiecznych sołectw.

Można? Ba! Pod warunkiem jednak -
spuentowałby autor „Traktatu o dobrej ro-
bocie” prof. Tadeusz Kotarbiński - że zechce
się chcieć!

Jerzy R. Lissowski, Słupsk

Katalog nie jest głupi...

*Po co tworzone są katalogi biblioteczne?
Jaka jest różnica między tradycyjnymi, kart-
kowymi a nowoczesnymi systemami infor-
macyjno-wyszukiwawczymi? Czy szczegó-
łowe opisanie książki, płyty, filmu. pomaga
w poruszaniu się po zbiorach bibliotecz-
nych gromadzonych przez stulecia?*



Czy użytkownicy bibliotek wiedzą, że
mogą samodzielnie, bez odwiedzania
biblioteki, wyszukać i zarezerwo-
wać interesujące ich tytuły? Jeżeli nie, po-
możemy przebrnąć przez „zasoby”, MARC-i,
synonimy, homonimy, hasła przedmiotowe
i inne dziwne terminy.

Katalog biblioteczny to lista, rejestr
dokumentów (nie tylko książek) groma-
dzonych przez daną bibliotekę, prowadzo-
ny w sposób określony międzynarodowymi
standardami. Jego celem jest odszuka-
nie i zlokalizowanie interesującego tytułu.
Historia katalogów sięga starożytności. In-
strukcje ułatwiające opisanie dzieł w spo-
sób dostępny i wyczerpujący zmieniały się
wraz z rozwojem bibliotek.

Miejska Biblioteka Publiczna w Słup-
sku była na początku lat 90. ubiegłego stu-
lecia jedną z pierwszych bibliotek, które
rozpoczęły automatyzację procesów bi-
bliotecznych. Przez kilka lat bibliotekarze

oraz tzw. pracownicy interwencyjni wpro-
wadzali kartkowy katalog do automatycz-
nej bazy danych w programie MAK (Małe
Automatyczne Katalogi - napisany przez
pracowników Biblioteki Narodowej). Po
stworzeniu bazy KATALOG (każdy egzem-
plar książki, czyli zasób otrzymał swój nu-
mer w systemie), można było rozpocząć
wprowadzanie bazy czytelników.

Jako pierwsi z automatycznego wy-
pożyczania skorzystali użytkownicy Wypo-
życzalni Centralnej przy ulicy Grodzkiej 3 w
Słupsku. Od 2007 roku Miejska Biblioteka
Publiczna korzysta z oprogramowania, w
którym pracuje również Wojewódzka i Miejska
Biblioteka Publiczna w Gdańsku. Kolej-
na wersja programu umożliwiła stworzenie
wspólnej karty bibliotecznej „Z biblioteką
do kultury”. Mając jedną kartę, można ko-
rzystać ze zbiorów wielu placówek.

A co z informacją o książkach groma-
dzonych przez poszczególne filie i działy?

Czy trzeba „wchodzić” do katalogu każdej placówki, żeby sprawdzić, czy znajdziemy książkę? Na szczęście - nie ma takiej konieczności. Katalog widoczny na stronie biblioteki: <http://mbp.slupsk.pl> (lub <http://biblioteka.slupsk.pl>) obejmuje zasoby wszystkich działów i filii bibliotecznych zorganizowanych w Miejską Bibliotekę Publiczną w Słupsku. Jeżeli będziemy chcieli na przykład sprawdzić, czy w Filii nr 3 przy ulicy Zygmunta Augusta będziemy mogli wypożyczyć książkę pana Zdzisława Machury pt. „Przedziwne dzieje kościoła św. Mikołaja i zakonu norbertanek w Słupsku”, powinniśmy wejść na stronę biblioteki, następnie „kliknąć” Katalog on-line, szukanie złożone i ustawić warunki: tytuł książki oraz wybierać z listy placówkę.

Dzieje kościoła św. Mikołaja, w którym obecnie mieści się biblioteka, dostęp-

zarówno w języku polskim, jak i językach obcych. Odnalezienie interesującego dokumentu, jeżeli znamy tytuł, czy autora nie powinno być problemem. Najprościej poprzez indeks. Większy problem będzie z odnalezieniem materiałów na konkretny temat. W zakładce „Indeks” należy „wejść” w „Hasło przedmiotowe”. Język haseł przedmiotowych Biblioteki Narodowej, który stosuje MBP jest językiem informacyjno-wyszukiwawczym o charakterze uniwersalnym, słownictwo nie podlega żadnym ograniczeniom. Tematy pochodzą z wiarygodnych źródeł informacji (m.in. encyklopedie uniwersalne, dziedziny, słowniki terminologiczne), eliminowane są wyrażenia niejasne, archaiczne, gwarowe i środowiskowy żargon. I tu dochodzimy m.in. do wspomnianych wcześniej synonimów i homonimów. Jeżeli dany przedmiot możemy opisać za pomocą wielu terminów, decydujemy się na jeden, pozostałe występują w charakterze odsyłaczy (np. Alkoholizm, nie: Pijaństwo; Barwa, nie: Kolor; Uwodzenie, nie: Zaloty). Ale program ma pewną trudność. Szukając poprzez: autora czy tytuł włącza się nam „podpowiadaczka” z listą nazwisk czy tytułów. Natomiast jeżeli wpisujemy termin odrzucony, nie zobaczymy listy. Musimy kliknąć „Szukaj”. Otrzymamy wskazówkę, jak szukać dalej.

Terminy odrzucone oznaczone są kolorem czerwonym.

Homonimy (wyrazy o takim samym brzmieniu, lecz odmiennym znaczeniu) różnicujemy za pomocą dopowiedzeń, np. Róża (bot.), Róża (med.), Róża (film).

Katalog Miejskiej Biblioteki Publicznej w Słupsku jest zarejestrowany w wyszukiwarce KARO, która korzysta z protokołu Z39.50 umożliwiającego wyszukiwanie i pobieranie informacji z różnych baz danych, czyli wymianę danych bibliograficznych na całym świecie. Opisy sporządzane są w formacie MARC 21, który jest międzynarodową umową, określającą sposób opisu danych bibliograficznych. Jeżeli nie znajdzie się poszukiwanej książki w słupskiej bibliotece, można przeszukać bazy innych bibliotek dzięki wyszukiwarce KARO: <http://karo.umk.pl> lub NUKAT (katalog centralny zbiorów polskich bibliotek naukowych i akademickich): www.nukat.edu.pl. Dzięki wypożyczaniu międzybibliotecznemu odnalezione, a dostępne pozycje można sprowadzić do słupskiej biblioteki.

Rozwój nowoczesnych technologii, powszechna dostępność Internetu, a przede wszystkim świadomości użytkowników bibliotek, wymuszają na bibliotekarzach zmiany umożliwiające szybki dostęp do informacji. Tworzone są dodatkowe punkty dostępu do rekordów bibliograficznych i wzorcowych, na przykład warianty nazw, tytułów, tematów, pionowy zapis symboli Uniwersalnej Klasyfikacji Dziesiętnej (system klasyfikacji zbiorów bibliotecznych). Opisy opatrzone są obrazem okładki opisywanej książki, coraz częściej również adnotacją treściową. Nowe rozwiązania metodologiczne i technologiczne mają umożliwić łatwiejsze i bardziej komfortowe wyszukiwanie i prezentację danych bibliograficznych w katalogu. Kody, produkowane i naklejane na dokumenty również w procesie opracowania (odpowiadają numerom inwentarzowym), pozwalają na zminimalizowanie czasu obsługi wypożyczeń oraz przyspieszają kontrolę zbiorów.

Katalog Miejskiej Biblioteki Publicznej jest nieustannie modyfikowany. Nowe narzędzia stwarzają nowe możliwości wyszukiwawcze, ale opisy wprowadzane w latach 90. ub. wieku wymagają uzupełnienia lub wręcz weryfikacji. Dlatego nie należy tracić cierpliwości podczas poszukiwań. Można skorzystać zawsze z instrukcji w zakładce „Pomoc” lub pomocy bibliotekarza osobiście, bądź za pomocą poczty elektronicznej.

Urszula Chojnowska, Słupsk



Fot. J. Maziejuk

ne są również w wersji cyfrowej. Odnajdując opis z adresem Bałtyckiej Biblioteki Cyfrowej: <http://bibliotekacyfrowa.eu/publication/302> „wejdziemy” od razu w treść książki. A więc nie musimy nawet ruszać się z wygodnego fotela. Ale oczywiście tylko niewielką część naszych zbiorów możemy odczytać dzięki Bałtyckiej Bibliotece Cyfrowej (m.in. z powodu ochrony praw autorskich). Przy katalogu w zakładce „Zestawienia” dostępny jest wykaz pn. „Dokumenty” z dostępem do wersji cyfrowej oraz inne zestawienia związane są z aktualnymi wydarzeniami i rocznicami literackimi, a także problemami szczególnie interesującymi użytkowników.

Wprowadzane do katalogu dokumenty to nie tylko książki w tradycyjnej postaci, to również książki mówione, utwory muzyczne na różnych nośnikach, filmy, gry komputerowe, czasopisma, artykuły prasowe, rozdziały książek, mapy, plany, nuty, dokumenty życia społecznego. Wydane

Z teki satyryka



Rysuje Zdzisław Opalko ze Słupska

Świat, w którym żyjemy jest coraz bardziej zróżnicowany i powinno się wspierać różnorodność kulturową oraz językową

Wielokulturowa Kobylnica

Tomaszewska, która omówiła stroje pomorskie zaprezentowane przez uczniów Zespołu Szkół Samorządowych w Sycewicach. Wyraziła nadzieję, że znajdą się chętni, którzy będą chcieli poprowadzić zespół tańców pomorskich.

Lisaweta von Zitzewitz podzieliła się wspomnieniami rodzinnymi, dotyczącymi przede wszystkim swojego ojca oraz mieszkańców Sycewic. Poezję zaprezentowała w języku niemieckim młodzież szkolna. Ponadto uroczystość uświetnił występ zespołu wokalnego, działającego przy Miejskiej Bibliotece Publicznej w Słupsku, któremu akompaniował Tadeusz Picz, skrzypek słupskiej Filharmonii „Simfonia Baltica”.

Niezwykłą historię stuletniego obrusu zaprezentowała Henryka Jurałowicz-Kurzydło ze Słupska, wcześniej przez wiele lat mieszkanka wsi Człuchy w gminie Smołdzino.

W holu Gminnego Centrum Kultury i Promocji przygotowano wystawę pn. „Szkoła Sycevice - wczoraj i dziś” oraz wystawę haftów kaszubskich. W bibliotece goście mogli dzielić się wrażeniami z uroczystości oraz wysłuchać Jerzego Henkego, który z wielką pasją opowiadał o Heinrichu von Stephanie, założycielu Światowego Związku Pocztowego, rozpoczynającym swoją przygodę z pocztą właśnie w Słupsku.

„Wielokulturowa Kobylnica. Integracja społeczności polskiej i niemieckiej” - to duże przedsięwzięcie. Autorzy projektu mają nadzieję, że zmiana sposobu myślenia i postrzegania wielokulturowości oraz szeroko pojętej integracji, będzie się nadal rozwijać, również po jego zakończeniu.

Iwona Wota, Sycevice



Fot. J. Maziejuk

Poprzez zrodzoną inicjatywę szeroko rozumianej edukacji kulturowej w Zespole Szkół Samorządowych w Sycewicach realizowano projekt pn. „Szkoła - nasze kulturowe dziedzictwo”, którego głównym celem było promowanie kultury lokalnej oraz integracji pokoleniowej. Gminna Biblioteka Publiczna w Kobylnicy, realizowała z kolei projekt „Biblioteka miejscem spotkań wielu kultur”. Po prostu szkoła w Sycewicach i biblioteka w Kobylnicy liczą na większą integrację wielokulturową.

Do współudziału w łączeniu kultur oraz przełamywaniu stereotypów polsko-niemieckich włączyła się mniejszość niemiecka - wnuczka ostatniego dziedzica rodu von Zitzewitz, Lisaweta von Zitzewitz oraz obecni dzierżawcy byłych popegeerowskich terenów, a wcześniej rodu von Zitzewitz - Johanna & Feliks rodu von und zu Gilsa. Owocem było niezwykle spotkanie 21 maja w sali teatralnej Gminnego Centrum Kultury i Promocji, w którym wzięli udział uczniowie szkół samorządowych z Sycewic i Kobylnicy oraz m.in. Isabel Sellheim - honorowa obywatelka Słupska, dyrektorka szkół i bibliotek.

Podsumowano działania realizowane w ramach projektów. Eliza Labuda-Kopczyńska zaprosiła wszystkich na wirtualny spacer po szlaku historii szkoły w Sycewicach. Ze Związku Ludności Pochodzenia Niemieckiego w Słupsku Agnieszka Rach-



Heinrich Eugen von Zitzewitz, Pałac w Sycewicach

To przecież umarła klasa, nieistniejący stan społeczny, który odszedł lub odchodzi do skansenów i muzeów etnograficznych wraz ze sposobami pracy, sprzętami, obyczajami, formami świętowania, religijnością i wierzeniami, czyli całą kulturą. Nie ma chłopów, po prostu. Nawet w języku chłop to wyraz wypierany, pomijany z powodu znaczeń i kontekstów.

Co innego literatura, właściwie klasyka. Bo we współczesnej temat chłopski podejmowany niegdyś przez Wiesława Myśliwskiego w młodzieńczej twórczości ewoluował w powieści filozoficznej ku Nagrodzie Nike za „Traktat o łuskaniu fasoli” czy „Ostatnie rozdanie”. Po prostu. Chłopskich powieści nie ma.

Tym bardziej zastanawia wybór tematu gdyńskiego przedstawienia: powieść przedstawiająca wieś lat osiemdziesiątych XIX wieku!

W „Programie” do musicalu „Chłopi” według scenariusza i w reżyserii Wojciecha Kościelniaka przygotowanego w Teatrze Muzycznym im. Danuty Baduszkowej w Gdyni prof. dr hab. Franciszek Ziejka zastanawia się nad możliwościami odczytania powieści Reymonta. Są, jego zdaniem, „Chłopi” dokumentem socjologicznym z życia wiejskiej gromady, są studium psychologicznym miłości i namiętności, są rozprawą o naturze, przyrodzie, tajemnicy życia i śmierci, są kroniką uroczystości i zwyczajów religijnych, a całość osadzona jest w polskich realiach historycznych i społecznych tamtego czasu.

Bogactwo kulturowe, regionalny autentyzm, wartości artystyczne i literackie powieści Reymonta doceniła Szwedzka Akademia, przyznając w 1924 roku Nagrodę Nobla autorowi.

No właśnie! A warstwa muzyczna, malarska powieści? O tym nic. A Reymont tak się starał! Scenę tańców na weselu Boryny pisał ponoć ponad 200 razy, a gdy skończył nad ranem, padł zmęczony jakby całą noc przetańczył.

Ponadto cały młodopolski synkretizm splatający rytmy, melodie, obrazy, symbole, nastroje. Jednym słowem „Chłopi” dla poszukującego artysty okazały się inspiracją muzyczną, plastyczną i w dodatku współczesną opowieścią o nas, ludziach.

I cóż, że zmieniają się epoki? Może inaczej się kłócimy, kochamy, zdradzamy? Uczucia i namiętności, refleksja nad życiem i umiarem to uniwersalne tematy.

Stąd zapewne nie pierwsza to próba adaptacji Remontowej powieści.

Pierwsza, nieistniejąca już, adaptacja filmowa powieści powstała w 1922 roku w reżyserii Eugeniusza Modzelewskiego, następną pięćdziesiąt lat później przygotował Jan Rybkowski - najpierw jako serial, następnie wersję kinową.

A w roku 2013 po raz pierwszy powieść Reymonta stała się kanwą musicalu

Klasa umarła, ale żywa

Musical „Chłopi” bardzo chciałam obejrzeć, bo odpowiedź na pytanie, dlaczego powieść Reymonta zainteresowała twórców widowiska, nie wydawała mi się oczywista



Wojciecha Kościelniaka z muzyką Piotra Dziubka i tekstami piosenek Rafała Dziwisza.

Ponad trzygodzinne przedstawienie imponuje mistrzostwem inscenizacyjnym. Wykorzystano dwie sceny obrotowe (małą i dużą), proscenii po obu stronach oraz inne możliwości techniczne, w tym podwieszane elementy scenografii - z założenia umownej i prostej - wg pomysłu Damiana Styry.

Dynamiczna muzyka, tańce, śpiew i wielowątkowa opowieść, naprawdę, niczego nie brakowało i niczego nie było za wiele. Postaci Rocha, upadłego Anioła to przewodnicy po barwnym świecie z jasnym kodeksem etycznym wspólnoty. Nie zabrakło pięknej postaci Kuby i jego wątku, włącznie ze sceną, w której sam siekierą ucina sobie nogę.

Centralną postacią musicalu jest Jagna, zaśpiewana i zagrana pięknie przez

Karolinę Trębacz/ Renię Gostawską. Zgodnie z koncepcją powieściową spotka ją kara za przekroczenie norm etycznych, ale widzę pozostanie z wątpliwościami, czy tylko ona złamała kodeks wspólnoty. Nawet gdybyśmy bardzo się odżegnawali, jesteśmy na drodze gender. Zmieniła się społeczna rola kobiety, jej kulturowe pojmowanie. Mimo to pozostajemy w sferze tradycji i tu szukam odpowiedzi na pytanie o wybór tematu przedstawienia.

Coraz częściej antropologowie kultury, na przykład Wojciech Burszta czy Manning Nash opisują problemy wykorzenienia, samotności, wyobcowania współczesnego człowieka. Zjawiskiem tym dotknięte są społeczności, w których rozpadają się tradycyjne wspólnoty, a rzeczywistość miast i wsi staje się anonimowa, bez dawnych granic terytorialnych i kulturowych.

Spoiwem między przeszłością a teraźniejszością może okazać się tradycja, na nowo zdefiniowana, adekwatna do zmieniających się realiów, nie pozbawiona jednak wartości symbolicznych. To ona właśnie, nie instytucje, była i jest podstawowym składnikiem tożsamości.

Dlatego wybór chłopskiej epopei jako tematu musicalu już tak nie dziwi. To niech będzie odpowiedzią malkontentom, widzącym w realizacji widowiska zamysł komercyjny. Jedno drugiemu nie przeczy. Instytucje kultury mimo dotacji również muszą brać pod uwagę element finansowy.

Widowisko ujmując rozmachem, muzyką, śpiewem, barwą kostiumów, jednak pod ową widowiskową aurą wyraźnie rysuje się powszechnie znany kod kulturowy: polski i uniwersalny. Dlatego, tak myślę, choć spektakl już niemal rok jest na afiszu, odremontowana sala gdyńskiego teatru wypełniona była do ostatniego miejsca.

Czesława Długoszek, Objazda

Czym żyje Kraków?

*Czy można ogarnąć i opisać wszystko w Krakowie?
Czy to miasto może zaskoczyć i zachwycić?*



Fot. W. Lipczyński

hotele markowe i wszystkie inne położone w centrum miasta. Powstają jak grzyby po deszczu małe hoteliki, hostele i schroniska młodzieżowe. Wszędzie słychać gwar zagranicznych grup przemieszczających się turystów. Charakterystycznie zachowują się grupy młodych Anglików, czasami jakby w amoku odwiedzający liczne lokale. Inaczej zachowują się dystygowani bogaci turyści z krajów zachodnich. Dominuje młodzież z wycieczek szkolnych, która traktem

Trudno dać szybką i pełną odpowiedź. Po raz pierwszy podziwiałem Kraków oczyma dziecka. Później sukcesywnie poznawałem bliżej to miasto. Teraz, po wielu latach corocznego pobytu, wydaje mi się, że znam jego specyfikę, charakter, mieszkańców. Ale z pewnością tak nie jest. Podczas każdego pobytu poznaję coś nowego i urokliwego. Kraków jest miastem zaskakującym, pełnym różnorodności nie tylko historycznej i zabytkowej. Jest dużą współczesną aglomeracją, stanowi prężny ośrodek naukowy i kulturalny. Najważniejsi są jednak mieszkańcy. Tworzą niepowtarzalny klimat intelektualny, potrafią zachować istniejące wartości kultury materialnej, łącząc codzienną pracę w tworzeniu dóbr współczesnych. To miasto ma wizytówkę rozpoznawalną poprzez dokonania wielkich ludzi w nowożytnej historii. Dziś osiąga niezwykłą harmonię między zachowawczym charakterem i pielęgnowaną tradycją, a awangardą w kulturze i sztuce, między rozwojem intelektualnym ośrodków naukowych a stanem i rozwojem gospodarczym.

Jeszcze jedna istotna uwaga - mimo niesprzyjających zaszciości w utrzymaniu należytych standardów środowiska - Kraków zdobywa teraz uznanie w porządkowaniu gospodarki wodno-ściekowej,

odpadowej i co najważniejsze, w zakresie szeroko zakrojonej realizacji programu czystości powietrza.

Czym żyje Kraków?

Ostatnio mieszkańcy masowo wypowiadali się w referendum na temat rozwoju miasta. Odrzucili propozycję samorządu dotyczącą organizacji olimpiady zimowej. Planowane na ten cel środki finansowe mają być przeznaczone na budowę metra i tym samym mają zostać docelowo rozwiązane problemy komunikacyjne. Metro krakowskie byłoby drugim w Polsce środkiem komunikacji szybkiej, bezpiecznej i ekologicznej. Liczba turystów przebywających w Krakowie jest największa w Polsce. W 2012 roku odwiedziło go blisko 9 mln osób. Turyستów krajowych było 6,6 mln. Kraków odwiedza prawie każdy Polak - ten w wieku szkolnym, a także zakochany w pięknie i klimacie tego miasta.

W zaskakującym tempie wzrasta liczba turystów zagranicznych. Miasto przygotowuje się na coraz większy ich napływ. Posiada najbardziej nowoczesny dworzec kolejowy, przebudowaną infrastrukturą peronową i usługową w podziemiach, wszelkie rozwiązania parkingowe, szerokie wyjścia do galerii handlowych, skomunikowanie z dworcem autobusowym. Zajęte są zawsze

królewskim podaża na Wawel. Miasto tętni życiem przez cały dzień i nocą. Poruszają się dystygowane zaprzęgi czwórek konnych, paradne powozy i ozdobne karoce, przechodniów mijają małe meleksy, riksze czy autobusy specjalnie przygotowane do zwiedzania miasta. Lokale i niektóre sklepy czynne są całą noc aż do ostatniego gościa. Miasto się bogaci, widać nowe inwestycje, a część zabytkowa podlega ciągłym renowacjom i pracom konserwatorskim, które obejmują całe kwartały.

Czym żyją mieszkańcy Krakowa?

Kraków to duże miasto, liczy ponad 758 tys. mieszkańców, a z aglomeracją ponad milion. Do miasta zostały przyłączone peryferyjne wsie i miejscowości. Nowa Huta to największa dzielnica mieszkaniowa i ośrodek przemysłowy. To symbol Solidarności Małopolskiej. Kraków posiada najwięcej budowli zabytkowych spośród polskich Miast. Mamy tu przegląd wszystkich stylów architektonicznych, nieliczne zabytki z okresu romańskiego, wiele zabytków z okresu gotyku i pięknego renesansu oraz arcydzieła baroku. Zabytkowych i współczesnych kościołów, cerkwi oraz kaplic jest tu najwięcej w Polsce - ponad 130. Samych

kościółów zbudowanych w XX i XXI wieku jest ponad 60!

Kraków posiada 23 uczelnie i największej w Polsce studiującej młodzieży. Jedną z najstarszych uczelni europejskich to Uniwersytet Jagielloński - przeżywa obłężenie przez młodzież polską i zagraniczną. Kraków to także centrum kulturalne, konkurencyjne dla stołecznej Warszawy. Posiada muzea, teatry, które prowadzą działalność o charakterze ogólnopolskim i narodowym. Są wyznacznikiem aktualnych europejskich tendencji w kulturze i sztuce, przy zachowaniu polskich tradycji.

Dyrektorem Muzeum Narodowego od wielu lat jest Zofia Gołubiew. Kieruje placówką, która zawsze zaskakuje innowacyjnością tematów i aranżacją wystaw. Kilkakrotnie pisałem recenzje z kolejnych, jedynych w Polsce wystaw tematycznych organizowanych przez to muzeum. Zawsze z podziwem patrzę na wszelkie inicjatywy, wymiany i dokonania w udostępnianiu zbiorów muzealnych dziedzictwa światowego. Obecnie muzeum eksponuje dwie wystawy godne zwiedzania. Jedną - „Maksymilian Gierymski. Dzieła, inspiracje, recepcja” opisałem w odrębnym artykule. Druga, sprowadzona z Londynu dotyczy biografii i twórczych przedsięwzięć jednego z największych reżyserów współczesne-

przeniosła się do społecznych dyskusji i ocen na temat poszanowania tradycji i osiągnięć najważniejszej sceny narodowej.

W związku z sensacyjnością tego wydarzenia z wielkimi trudnościami nabyłem bilet, by obejrzeć kontrowersyjny spektakl. Tytuł sztuki „Do Damaszk” nawiązuje do miejsca tragicznej śmierci dyrektora teatru Konrada Świnarskiego, a sam spektakl jest deformacją sztuki Strindberga, która została gruntownie przerobiona przez Jana Klatę. I tu zaczyna się też mój problem: do jakiego stopnia sztuka może ulegać transformacjom i czy nie obraża widza wulgarnością przyjętej formy jako istotnej dla realizacji spektaklu? Są to wszystko eksperymenty reżysera, których doświadczają widzowie sztuki. Zwiększa się poprzez skandal w teatrze frekwencja i tym samym korzyści finansowe, ale niektórzy widzowie stawiają pytanie: dlaczego ma to miejsce w teatrze z wieloletnimi tradycjami, a nie w teatrze awangardy, poszukującym nowych form wyrazu?

Jakie pozostają refleksje i wspomnienia o samej sztuce? Przed jej rozpoczęciem jest przekazywany komunikat, że osoby zakłócające pracę aktorów będą siłowo wyprowadzane. Byłem zaskoczony scenografią, która przez cały czas trwania przedstawienia jest taka sama. Składa się z wysokich

że część frustracji widzów wynika z tego, że właśnie tacy wspaniali artyści biorą udział w tak kontrowersyjnym przedsięwzięciu.

Jestem wychowany w kulturze poszanowania prawa artystów do różnorodności form i sposobu wypowiedzi, ale sam również wyrażam dezaprobatę dla takiej inscenizacji i nowego kształtu Teatru Starego w Krakowie. Zmiany w sensie estetycznym są zaskakujące i nie mogą być usprawiedliwieniem dla rzekomej liberalizacji i „unowocześnienia” formuły teatru we współczesnym świecie. Udzwińnienie formy nie jest usprawiedliwieniem dla pustki intelektualnego przesłania.

Czym jeszcze żyje Kraków?

Miasto żyje jeszcze m.in. wyborem na stolicę Światowych Dni Młodzieży w 2016 roku i zapowiedzianą z tej okazji wizyty papieża Franciszka. Jest to poważne wyzwanie i wielkie przedsięwzięcie logistyczne dla władz kościelnych i miejskich. Czekają na dokończenie wielkie założenie urbanistyczno-pątnicze w Łagiewnikach. Sanktuarium „Bożego Miłosierdzia” i wizje św. Faustyny ściągają niezliczone rzesze pielgrzymów. Już dziś Łagiewniki stają się jednym z centralnych miejsc pielgrzymowania w Polsce. Kraków żyje też licznymi cyklicznymi imprezami, festiwalami i uroczystościami, których można by wyliczyć wiele. Oprócz zabytkowych i tradycyjnych budowli trzeba tu jeszcze koniecznie zobaczyć najnowsze Muzeum Historii Miasta, usytuowane częściowo w podziemiach Sukiennic i pod płytą Rynku Głównego. W Podziemiach znajduje się zarówno stała, jak i czasowa ekspozycja. Stałą zatytułowaną „Śladem europejskiej tożsamości Krakowa”, udostępniono trzy dni po otwarciu muzeum, tj. 27 września 2010. Jest to multimedialne widowisko, podróż w czasie, do której wykorzystano liczne nowoczesne techniki multimedialne, np. urządzenia holograficzne do prezentacji rekonstrukcji budynków, mające stworzyć w muzeum atmosferę pozwalającą wczuć się w Kraków sprzed siedmiuset lat. Poza zwykłymi eksponatami, około sześćset modeli można zobaczyć na jednym z 37 ekranów dotykowych. Znajduje się tu też ekran z pary wodnej oraz kilkadziesiąt wyświetlaczy i projektorów. Godne zwiedzenia w Krakowie są też - jedyne w Polsce Muzeum Lotnictwa Polskiego i Lotniczy Park Kulturowy, a także modernistyczny kościół Arka w Nowej Hucie z wnętrzami o wielkiej symbolice narodowej.

Dla nas, Polaków Kraków jest miastem szczególnie ważnym, to nasza kolebka duchowa i trwała wartość materialna zapisana przez wieki. To nasze polskie historyczne dziedzictwo kulturowe i nasze polskie korzenie.

Włodzimierz Lipczyński
w.lipczynski@interia.eu



Fot. B. Lipczyńska

go kina, Stanleya Kubricka. Zaskakują rozwiązania techniczne, bogactwo przedstawianej problematyki filmowej. Działa wiele niezależnych ekranów, monitorów, lamp kineskopowych wyświetlających bez przerw filmy i dokonania wielkiego reżysera i twórcy współczesnego kina. Wystawę tę oglądają tłumy zwiedzających.

Kraków silnie reaguje na zamierzenia programowe i dokonania artystyczne nowego dyrektora Teatru Starego, Jana Klaty. Stanowisko dyrektora objął on w 2013 roku. Oceny jego kontrowersyjnej działalności są mocno zróżnicowane. Trafiają się też negatywne. Prasa donosiła: „Skandal miał miejsce w Teatrze Starym. Zniesmaczeni widzowie zbojkotowali sztukę. Spektakl przerwano. Jan Kłata do gości: „Wynoście się stąd!” Była to awantura w teatrze niebywała i

stelaży - statywów z metalowymi półkami, na których rozmieszczono przeszło siedemset papierowych czaszek. Awangardowe przedstawienie, bo tak je można zakwalifikować, przedstawia scenki rodzajowe; od spotkań pary hipisów, domu wariatów, przedstawienia ołtarza w kaplicy cmentarnej itp. Następuje przenikanie świata realnego do metafizycznego, pojawia się specyficzny język i mamy do czynienia z obsesyjną grą aktorów. Cały spektakl wywołuje ogólnie wrażenie chaosu i nie nadążania za koncepcją reżysera. Grają znakomici i zasłużeni aktorzy, m.in. ulubiona moja aktorka Dorota Segda - wykładowca na uczelni aktorskiej, znany i ceniony Krzysztof Globisz. W komentarzach prasowych powtarza się zdziwienie, że w spektaklu zagrali tacy wybitni aktorzy scen polskich? Myślę,

Otwarte z początkiem roku dwie równoległe wystawy w obu muzeach narodowych prezentują wielki dorobek twórczości braci Aleksandra i Maksymiliana Gierymskich. Obaj żyli w okresie późnego pozytywizmu, w czasie radykalnych zmian zachodzących w dziedzinie malarstwa, w początkach wykształcania się kierunku zwanego realizmem. Podejmowano wówczas próby uszczegółowienia malarskich obserwacji i dążenia do utrwalenia obiektywnej prawdy. Tak pojmował też zadania w sztuce Aleksander Gierymski, którego dzieła przypominają zdjęcia fotograficzne z tamtej epoki. Jednak jednym z największych mistrzów realizmu (naturalizmu) był jego brat - Maksymilian Gierymski, który w swoim krótkim, zaledwie 28-letnim życiu dokonał tak wiele, że jego dzieła przetrwały, jako dokument powstającego wówczas nowego kierunku w sztuce malowania.

Ekspozycja w Muzeum Narodowym w Warszawie wystawa twórczości Aleksandra Gierymskiego stanowi pierwszy po siedemdziesięciu sześciu latach tak wszechstronny i kompletny pokaz dorobku artystycznego tego malarza. Jest to największe tematyczne przedsięwzięcie poświęcone twórczości jednego artysty, którego dorobek zaliczany jest do najwybitniejszych w drugiej połowie XIX wieku. Wystawa malarstwa A. Gierymskiego inaugurowała już w 1938 roku działalność Muzeum Narodowego w nowym gmachu przy Alejach Jerozolimskich, a teraz kontynuuje tradycję prezentacji dzieł artystów ze środowiska warszawskiego. A. Gierymski, urodzony w 1850 roku w Warszawie, zmarły w 1901 w Rzymie, młodszy brat Maksymiliana ukończył III Gimnazjum Rządowe w Warszawie w 1867 roku i w tym samym roku rozpoczął studia w Klasie Rysunkowej w Warszawie. W latach 1868 - 1872 studiował w Akademii Sztuk Pięknych w Monachium, którą ukończył ze złotym medalem. Wyróżnienie otrzymał za swoją pracę dyplomową „Kupiec wenecki”. W 1869 roku wspólnie z bratem uczęszczał do prywatnej pracowni Franza Adama. W tym okresie zaczął współpracować jako ilustrator z czasopismami warszawskimi (m.in. z „Kłosami”, „Tygodnikiem Ilustrowanym”), z czasem również z niemieckimi i austriackimi. Towarzyszył choremu bratu również podczas jego pobytu w alpejskich miejscowościach kuracyjnych.

W latach 1873 - 1874 przebywał we Włoszech, głównie w Rzymie. Właśnie tam powstały dwa jego pierwsze znane obrazy: „Austeria rzymska” i „Gra w mora”, które A. Gierymski przywiózł na początku 1875 roku do Warszawy i wystawił w „Zachęcie”. Oba wzbudziły zainteresowanie publiczności i krytyki.

Od końca 1875 do 1879 roku artysta ponownie przebywał w Rzymie. Intensywnie pracował nad dalszym doskonaleniem

Bracia Gierymscy - wielcy malarze

Muzea Narodowe w Warszawie i w Krakowie podjęły się organizacji największego muzealnego przedsięwzięcia - poświęconego braciom Aleksandrowi i Maksymilianowi Gierymskim. Wielkie zasługi obu braci dla kultury polskiej nie zawsze są do końca znane



Fot. Archiwum Autora

swego rzemiosła, wiele czasu poświęcając studiowaniu malarstwa włoskiego. Powstał wtedy obraz „W altanie” zapowiadający impresjonizm, którego ostateczną realizację poprzedził długi okres studiów przygotowawczych. Tematem obrazu jest zebranie towarzyskie osób przedstawionych w kostiumach z XVIII wieku, odbywające się w altanie prześwietlonej od tyłu słońcem. Takie podejście do tematu pozwoliło artyście skoncentrować się na zgłębieniu zagadnień związanych z wzajemnym oddziaływaniem na siebie koloru i światła. W tych rozważaniach zbliżył się do współczesnych mu impresjonistów francuskich, których dzieł najprawdopodobniej nie znał, gdyż nigdy nie był jeszcze we Francji.

Lata 1879 - 1888 to najświetniejszy okres w twórczości A. Gierymskiego,

spędził je w Warszawie. Związał się tu z grupą młodych literatów i malarzy spod znaku pozytywizmu, skupiających się wokół tygodnika „Wędrowiec”. Rzecznikiem spraw malarstwa był na łamach tego pisma Stanisław Witkiewicz, który podjął walkę o należyte uznanie sztuki Gierymskiego.

Obrazy tworzone w okresie warszawskim: „Pomarańczarka”, „Brama na Starym Mieście”, „Przystań na Solcu”, „Trąbki”, „Piaskarze” i inne, prezentują sceny z życia biedoty Powiśla i Starówki. Jednak wielka twórczość artysty z tego okresu nie znalazła dostatecznego zrozumienia w ówczesnym społeczeństwie polskim. Niezrozumiany i niedoceniony w ojczyźnie, pozbawiony środków utrzymania, Gierymski opuścił w 1888 roku Warszawę. Przebywał głównie w Niemczech i we Francji. Zmiana miejsca

pobytu wpłynęła na zmianę charakteru jego sztuki. Oderwany od rodzinnych stron zaczął malować obrazy o tematyce mniej osobistej. Teraz w centrum jego zainteresowań znalazł się pejzaż - widoki zamku Kufstein, Rotenburg, krajobrazy nadmorskie itp. Wielokrotnie malował nokturny, które dawały mu możliwość studiowania trudnych zagadnień związanych ze sztucznym oświetleniem. Warto tu wymienić nokturny monachijskie - „Opera paryska w nocy” czy „Zmierch nad Sekwaną”.

Krótkotrwały pobyt w kraju w latach 1893 - 1895, w związku ze staraniami o katedrę malarstwa w Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie, spowodował u A. Gierymskiego nowy przypływ zainteresowań życiem człowieka. Namalował wtedy m.in. „Trumnę chłopską”. Ostatnie lata jego życia upływały we Włoszech. Z tego okresu pochodzą m.in. obrazy: „Wnętrze bazyliki San Marco



w Wenecji”, „Piazza del Popolo w Rzymie”, widoki Werony.

A. Gierymski patrzył na świat chłodnym okiem naturalisty, ale temperament miał bardzo burzliwy. I choć ostatnie lata swojego życia spędził w szpitalu dla umysłowo chorych, to jednak pozostawił po sobie unikalny dorobek. Jego obrazy to już realizm taki jak u Courbeta. Nie unikał tematów z życia, nawet ludzi z niskich sfer, o których moglibyśmy powiedzieć, że są „źle urodzeni”. Dobrym przykładem może być obraz „Święto Trąbek I” - płótno z 1884 roku.

Na warszawskiej wystawie prezentowana jest niemal cała dostępna spuścizna Aleksandra Gierymskiego - w sumie ok. 120 obrazów i szkiców olejnych, ok. 70 rysunków, blisko 110 drzeworytów wykonanych

według jego rysunków oraz zespół fotografii modeli pozujących artyście. Większość prac pochodzi ze zbiorów Muzeum Narodowego w Warszawie, pozostałe wypożyczono z osiemnastu muzeów polskich, dwa z instytucji zagranicznych, a wiele pochodzi z kolekcji prywatnych. Układ ekspozycji pozwala poznać kolejne etapy rozwoju twórczego artysty. Główny wątek narracji koncentruje się wokół eksperymentów dotyczących analizy zjawisk świetlnych i możliwości ich odwzorowania na powierzchni płótna, a także umiejętności dostosowywania stylizacji oraz cech warsztatowych do charakteru zagadnienia artystycznego, z którym chciał się malarz zmierzyć, tworząc określony obraz.

Dzieła o znaczeniu kluczowym dla oceny twórczości Aleksandra Gierymskiego, które można zobaczyć na wystawie to m.in.: „Siesta włoska”, „W altanie”, „Żydówka z pomarańczami” (obraz niedawno odzyskany), „Święto Trąbek”, „Wieczór nad Sekwaną” czy „Wnętrze bazyliki św. Marka w Wenecji”. Zostały one zestawione razem ze szkicami przygotowawczymi i studiami plenerowymi, a także innymi pracami o zbliżonej tematyce. Taki sposób prezentacji pomaga zrozumieć, w jaki sposób artysta dochodził do rozstrzygnięcia problemów malarskich nurtujących jego wyobraźnię w danym okresie życia.

Na wystawie można podziwiać na obrazach też dawną Warszawę. Zaskakują wykonane przez artystę cykle naturalistycznych studiów i szkice oraz obrazy o subtelnych scenkach i drobiazgowej szczegółowości związane z peryferyjnymi dzielnicami miasta, a szczególnie przedstawione różne fragmenty Powiśla. Miasto było budowane w kontakcie z rzeką i ona stanowiła główną jego oś rozwojową. Została utrwalona m.in. w tematach: „Brama na Starym Mieście”, Powiśle, „Przystań na Solcu”, „Piaskarzy”.

Obraz „Święto Trąbek” został uznawany za jedno z najwybitniejszych dzieł A. Gierymskiego, powtórzone w nieco odmiennym układzie kompozycyjnym podczas pobytu artysty w Monachium w 1890 roku. Tematycznie nawiązuje do rytuałów żydowskiego święta Rosz ha-Szana. Przedstawia w modlitewnym skupieniu ludzi nad brzegiem Wisły. Artysta uchwycił na nim moment wyciszenia i bezruchu przyrody w zapadającym zmierzchu. Przymglone światło słońca, złotymi promieniami odbite w lustrze wody, podkreśla religijny, pełen zadumy nastrój dzieła. Obrazem tym Gierymski zamknął kolejny etap swoich poszukiwań dążących do zgłębiania tajemnicy światła i jego wpływu na barwną harmonię obrazu.

Wystawa warszawska prezentuje obok powszechnie znanych obrazów również dzieła pokazane publicznie po raz pierwszy od końca XIX wieku. Równoczesne wystawienie ich stwarza okazję do

nowego, krytycznego spojrzenia na cały dorobek twórcy artysty. Na uwagę zasługują na przykład dotychczas słabo rozpoznane i niedocenione przez współczesną historię sztuki, a zebrane na ekspozycji w niemal pełnym zakresie, drzeworyty wykonane według rysunków Aleksandra Gierymskiego, dla którego praca ilustratorska stanowiła istotny nurt działalności twórczej i często była jedynym źródłem utrzymania.

Wystawa twórczości Maksymiliana Gierymskiego została otwarta w Muzeum Narodowym w Krakowie w 140. rocznicę jego śmierci. Ekspozycja zatytułowana „Maksymilian Gierymski. Dzieła, inspiracje, recepcja” pokazuje 55 jego obrazów olejnych, obejmuje również prace wykonane na papierze oraz uzupełniona została wyborem dzieł innych twórców polskich i zagranicznych, zaliczanych do tzw. kręgu monachijskiego. Fenomen tego cenionego artysty wciąż pozostaje znany tylko wąskiej grupie odbiorców i przybliżenie go poprzez dzieła, pokazuje jego wielkość i miejsce w historii malarstwa polskiego.

Jest to pierwsza wystawa twórczości Maksymiliana Gierymskiego od 1974 roku, kiedy przygotowano ekspozycję dzieł artysty w Muzeum Narodowym w Warszawie, prezentowaną później także w Muzeum Pomorza Środkowego w Słupsku oraz w Muzeum Narodowym w Krakowie. Maksymilian Gierymski urodził się 9 października 1846 roku w Warszawie, a zmarł 16 września 1874 w Reichenhall w Bawarii. Od dziecka przejawiał artystyczną wrażliwość, grał na fortepianie, był wielkim miłośnikiem Chopina i Wagnera. Początkowo kształcił się w naukach ścisłych (Instytucie Politechnicznym Rolnictwa i Leśnictwa w Puławach i na Wydziale Matematyczno-Fizycznym Szkoły Głównej w Warszawie). Brał udział w powstaniu styczniowym. Walczył prawdopodobnie na terenie Lubelszczyzny i Kielecczyzny. To doświadczenie pozostawiło w nim wyraźny ślad, widoczny później w jego sztuce. Po powrocie do stolicy zapisał się na lekcje do Klasy Rysunkowej prowadzonej przez Wojciecha Gersona, by - po otrzymaniu stypendium rządowego - wyjechać do Monachium, gdzie kształcił się w dziedzinie malarstwa. Na I Międzynarodowej Wystawie Sztuki w Monachium w 1869 roku został dostrzeżony przez krytyków i kolekcjonerów. W tym samym roku wysłany na wystawę do wiedeńskiego Kunstvereinu obraz „Rekoniesans huzarów austriackich” został zakupiony do zbiorów cesarza Franciszka Józefa. To był początek jego sukcesów, zwieńczonych złotym medalem na Wystawie Światowej w Wiedniu w 1873 roku, a we wrześniu 1874, w uznaniu jego zasług, mianowano go członkiem Królewskiej Akademii Sztuk Pięknych w Berlinie. Dwa tygodnie później zmarł na gruźlicę w wieku niespełna 28 lat. Zasadnicza część jego dorobku malarskiego powstała w ciągu niespełna czterech lat (1869 - 1874).

Malował sceny batalistyczne i rodzajowe, myśliwskie z XVIII wieku utrzymane w stylu rokoka (tzw. „zofty”), epizody z powstania styczniowego oraz nastrojowe pejzaże z Mazowsza i Podlasia - prowincjonalne miasteczka, polne drogi, wiejskie karczmy, cha-ty. Zajmował się też ilustracją książkową. Wywarł duży wpływ na twórczość m.in. Jó-zefa Chełmońskiego, Stanisława Witkiewi-cza i swego brata.

Z podziwem oglądałem wystawę je-go obrazów w podwojach Muzeum Na-rodowego w Krakowie, przedstawionych w pięknej aranżacji, z komunikatywnymi i czytelnymi napisami. Na szczególną jednak uwagę zasługują te obrazy, które prezentu-ją wielkie dokonania malarza. Obraz „Patrol powstańczy” malowany był pod wpływem własnych wspomnień artysty, jako świad-ka i uczestnika tamtych wydarzeń. Sceny z powstania styczniowego rozgrywają się wyłącznie w pejzażu, w którym cechą za-sadniczą, prawie reporterską jest realizm i brak patosu. Temat „Wiosna w małym mia-seczku” należy do kompozycji pejzażowo-rodzajowych, w których artysta ukazuje przedmieścia małych miasteczek, wioski i ojczysty krajobraz. Był to świat zwyczaj-nych anonimowych ludzi, przedstawiany w codziennych sytuacjach na tle nędznej zabudowy, który został bardzo realistycz-nie ukazany. Twórcę tych obrazów uznano za malarza pejzażu nowego typu. Obraz „Modlitwa Żydów w Szabat” z 1871 roku został namalowany z inspiracji artystów z kręgu monachijskiego. Jednak Gierymski stworzył własną paletę kolorów, ograni-czoną do wąskiej gamy barw, lecz bogatą w odcienie, subtelne tony, dopełnione cza-sem kontrastowymi akcentami czerwieni, szmaragdowej zieleni lub ciemnego błęki-tu. Obraz ten był podziwiany w środowisku monachijskim za umiejętności techniczne artysty, które pozwalały mu oddawać ulot-ne zjawiska świetlne i barwne.

Był M. Gierymski w swoim krótkim ży-ciu nowatorem w historii sztuki polskiej. Oglądając wystawę w Krakowie, która sta-nowi część większego interdyscyplinarnego projektu badawczego nazwanego „Twórczość Maksymiliana Gierymskiego a sztuka polskich monachijczyków w latach 1867 - 1900”, ma się sposobność zobaczyć również prace Adama Chmielowskiego, Jó-zefa Chełmońskiego, Józefa Brandta, Sta-nisława Witkiewicza, Władysława Malec-kiego i innych. Są również eksponowane prace twórców niemieckich, francuskich i węgierskich

Dwa Muzea Narodowe - w Warszawie i Krakowie, dokonały niezwyklej prezenta-cji. Obie wystawy pokazują piękno zawarte na płótnie, jednocześnie poprzez obrazy o wielkim znaczeniu uczą i przybliżają histo-rię Polski i Warszawy z minionych lat.

Włodzimierz Lipczyński, Słupsk



Już pierwsze wrażenia były zaskakujące, za-nim dotknęliśmy afrykańskiej ziemi. Spodzie-wałem się przejrzystego powietrza i widoku czerwonej ziemi, a tymczasem wszystko wydawało się spowite mgłą znad Atlantyku

W miastach północnego Maroka

Samolot linii Small Planet oderwał się od płyty lotniska im. Lecha Wałęsy w Gdańsku i przecinając warstwę niskich chmur wzbił się na przelotową wysokość po-nad 10 tysięcy metrów. Podczas pięciogo-dzinnego lotu przecięliśmy Europę w kierun-ku południowo-zachodnim, a czyste niebo nad środkową częścią kontynentu pozwoliło siedzącym przy oknach podziwiać ośnieżo-ne alpejskie szczyty, meandry rzek i minia-turowe układanki wielkich miast oraz wioski rozsiane pośród dojrzewających do żniw-łanów zbóż na przypominających szachow-nicę polach. Wzgórza pokryte zielonymi pe-lerynami lasów po przekroczeniu bariery Pirenejów zaczęły ustępować śródziemno-morskiej makii z coraz rzadszą i niższą roślin-nością. Samolot bez najmniejszych turbu-lencji pokonał europejski odcinek trasy i po minięciu Cieśniny Gibraltarskiej pilot zaczął powoli zmniejszać wysokość, by bezpiecznie posadzić maszynę na lotnisku w Agadirze.

Byłem ciekaw Afryki, jej krajobrazów, egzotyki, przyrody i ludzi. Podczas następ-nych dwóch tygodni ten niezwykle konty-nent odkrywał przede mną odrobinę swo-jego ogromnego bogactwa barw, zapa-chów, dźwięków i widoków. Już pierwsze wrażenia były zaskakujące, zanim dotknę-liśmy afrykańskiej ziemi. Spodziewałem się przejrzystego powietrza i widoku czerw-nej ziemi, a tymczasem wszystko wyda-wało się spowite mgłą znad Atlantyku. Jak się później przekonałem, w strefie wybrze-ża było to normalne zjawisko. Co innego w głębi lądu. Gdy podążaliśmy przez sie-dem dni szlakiem „Cesarskich Miast” prze-wodniczka kilkukrotnie „gratulowała” nam szczęścia, gdyż mieliśmy zaledwie trzydzie-ści pięć stopni Celsjusza, a nie, jak to często bywa czterdzieści pięć lub pięćdziesiąt!

Lotnisko znajduje się zaledwie dwa-dziesiąt kilometrów od centrum Aga-diru, więc po krótkiej podróży autokarem

zakwaterowano nas w hotelu i popołudnie mieliśmy na odpoczynek oraz rekonesans po miejscowości, gdyż po tygodniowym objeździe północnego Maroka to właśnie tu mieliśmy z żoną spędzać ten drugi - bardziej leniwy tydzień naszych wakacji. Pierwsze kontakty z miejscową ludnością kazały poszperać w głowach i wydobyć z zakamarków pamięci kilka francuskich słów i zwrotów, a jak to na wczasach bywa, ostatecznie porozumiewaliśmy się całkiem sprawnie językiem francusko-angielsko-polsko-berberyjskim przy znaczącym wspomaganiu gestów i min. Oczywiście, nie tych bojowych! Turyści wywożą z tego urokliwego kraju bardzo różne doznania i wrażenia, ale jedno warto jest podkreślić - ludzie są tam bardzo życzliwi. Szczególnie ci, którzy pracują przy obsłudze ruchu turystycznego ujmują swoją szczerą sympatią.

Następnego dnia rozpoczęliśmy podróż, i bez poetyckiej przesady mogą stwierdzić, że była to także podróż w czasie. Trasa „Cesarskie Miasta” obejmuje kilka dawnych i obecną stolicę, a także kilka mniejszych miejscowości położonych głównie wzdłuż wybrzeża oceanu. Cesarzy nigdy w Maroku nie było, ale taka nazwa imprezy ładnie brzmi w turystycznych folderach. Ładnie brzmi i rzeczywiście jest godna polecenia. W towarzystwie profesjonalnej przewodniczki, miejscowego kierowcy i uczynnego pomocnika poznawaliśmy kraj Berberów, Arabów, Beduinów i... Francuzów. Ślady francuskiego protektoratu zakończonego w latach pięćdziesiątych ubiegłego stulecia widoczne są w wielu miejscach, nie tylko w architekturze. Marokańczycy nie wspominają obecności Francuzów w ich kraju jako drapieżnej ko-

(tak Arabowie nazywają północno-zachodnią Afrykę). Jednak im dalej od miejscowości turystycznych, tym więcej było na naszej trasie „prawdziwego” Maroka. Kolejne przystanki to Safi, portowe miasto znane głównie z warsztatów garncarskich i ceramiki, oraz Al Dżadida, dawna enklawa portugalska. Późnym wieczorem zasypialiśmy pełni wrażeń, a w uszach wciąż brzmiał donośny głos Muezina nawołującego do modlitwy z wysokiej wieży minaretu. Muzulmanie po kolejnym dniu Ramadanu podążali do meczetów.



Fot. P. Sikorski

Poranne słońce przebijało się przez delikatną jak całun warstwę nisko zawieszonych chmur, by po dwóch godzinach pokazać swoją prawdziwą siłę. Na tych szerokościach jego promienie padają pod znacznie większym kątem i niejeden turysta przekonał się boleśnie o konieczności stosowania dobrych filtrów. Byliśmy w drodze do Raba-

Pod tym względem moglibyśmy się czegoś od Marokańczyków nauczyć.

W kolejnym dniu podróży opuściliśmy Rabat, by przez Meknes (miasto pięknych bram) oraz Volubilis (ruiny rzymskiego miasta z I wieku wpisane na listę UNESCO) dotrzeć do dawnej stolicy kraju. Fez to dziś duchowa i religijna stolica Maroka z niezwykłą medyną Fez el-Bali. To właśnie stare miasto w Fezie zrobiło na mnie największe wrażenie. Labirynt ponad dziewięć tysięcy wąskich i krętych uliczek, gdzie poruszanie się bez miejscowego przewodnika jest niemożliwe, mieści w sobie tysiące sklepików, straganów, warsztatów i niewielkich mieszkań. Ponadto znajduje się tam meczet i jeden z najstarszych uniwersytetów świata - El Karawijn, w którym od IX wieku naucza się Koranu, logiki i filozofii. Medina (lub medyna) to miejsce, które pozwala na kilka godzin przeniesie się w czasy średniowiecza. Nie da się opisać wrażeń i emocji, jakie to miejsce wywołuje. Wchodząc w gęszcz uliczek, po których osiołki transportują towary, zagłębialiśmy się w filmową wręcz scenerię i nadzwyczajną mieszankę dźwięków, barw i zapachów. Te ostatnie to nie tylko bogactwo przypraw, ziół i owoców zmieszanych z zapachem mięsa. To także efekt warunków higienicznych i sanitarnych tego miejsca. Opuszczenie murów medyny było jak przejście przez baśniową bramę czasu. Polecam każdemu, kto kiedyś trafi do Maroka. W tzw. Nowym Fezie przespacerowaliśmy się jeszcze po dzielnicy żydowskiej Mellah.



Fot. P. Sikorski

lonizacji. Powiązania między tymi dwoma narodami i ich wzajemna sympatia widoczne są w wielu dziedzinach. Mam na myśli nie tylko współistnienie języków, lecz także relacje handlowe i gospodarcze. Na dobry początek zobaczyliśmy Essaouirę, nadmorskie miasteczko słynące z wyrobów z drewna tui. Spacer pośród biało-niebieskich domków i kafejek zatopionych w bajecznie kolorowych kwiatach przenosił nas stopniowo w niezwykłą atmosferę Maghrebu

tu. Nie, nie! Nie chodziło o jakąś zniżkę, czy promocję. Rabat to obecna stolica Maroka, która liczebnie dorównuje Warszawie. Warto w niej zobaczyć meczet, Mauzoleum Mohameda V (dziadka obecnie panującego Mohameda VI), nekropolię dynastii Merynidów - Szella, pałac królewski z imponującą bramą Bab ar-Pouah oraz artystyczną dzielnicę Kasba Oudaja. Trzeba w tym miejscu podkreślić ogromny szacunek i przywiązanie mieszkańców Maroka do swoich

wieczorem zasypialiśmy pełni wrażeń, a w uszach wciąż brzmiał donośny głos muezina nawołującego do modlitwy

Z Fezu ruszyliśmy do Casablanki i Marrakeszu. Trasa i kolejność zwiedzania poszczególnych miast jest elastyczna. Okres Ramadanu wymusza konieczność niewielkich zmian, jednak dzięki profesjonalnej przewodniczce zorientowanej w sytuacji, objazd przebiegał bardzo sprawnie, a długie niekiedy godziny przejazdów były wypełnione ciekawymi opowieściami, anegdotami, a także filmami o Maroku. Była także filmowa „Casablanka” z Humphreym Bogartem oraz Ingrid Bergman, co ciekawe - wcale nie nakręcono tego kultowego filmu w Casablance. Dziś jest to największe miasto Maroka (ponad 4 mln ludności), ważny port i ośrodek przemysłowy. Na sztucznym nasypie ponad wodami Atlantyku wznosi się meczet Hassana II. Niekiedy otwierany jest też ogromny dach tej świątyni, aby wierni zgodnie z nauką Koranu mogli podziwiać boski ocean i nieboskłon. Meczet Hassana II jest trzecim pod względem wielkości na świecie. W głównej sali może pomieścić 25 tysięcy muzułmanów, a na jego rozległym dziedzińcu dalsze 80 tysięcy. Do świątyni przylega minaret o wysokości 210 metrów, co czyni go najwyższym minaretem na świecie i najwyższą budowlą w Maroku.

Pobyt w leżącym u podnóża Atlasu Wysokiego Marrakeszu był tak pomyślny, by spędzić w tym mieście także wieczór. I było warto! Oprócz wielu zabytków na szczególną uwagę zasługuje Dżamaa al-Fina - największy plac w marrakeszeńskiej medynie. Przestrzeń kulturowa placu została proklamowana Arcydziełem Ustnego i Niematerialnego Dziedzictwa Ludzkości, a w 2008 roku wpisana na listę niematerialnego dziedzictwa UNESCO. Jeszcze w XIX wieku odbywały się tam targi niewolników i egzekucje. Dziś co wieczór odbywa się na placu wielki targ ze straganami restauracyjnymi. Wokół gromadzą się kuglarze i artyści, berberyjscy opowiadacze legend, bębniarze, zaklinacze węży, a nawet samozwańcy uzdrowiciele. Występy trwają zwykle do północy i cieszą się ogromną popularnością wśród turystów.

Marokański tydzień minął jak piękny sen. Nasza czterdziestoosobowa grupa podzieliła się na tych, którzy wracali do Polski oraz na tych, którzy mieli przed sobą kolejny tydzień pod afrykańskim niebem. Byliśmy z żoną wśród tych szczęśliwców, którzy przez kolejnych siedem dni mogli się cieszyć urokami Agadiru, oglądać przyplawy i odpływy oceanu, targować się z miejscowymi sprzedawcami i cieszyć się promieniami słońca. Turystyczna strefa nadmorska to już inne - bardziej „europejskie” Maroko. Hotelowa obsługa i jakość oferowanych atrakcji, ciekawe animacje, smaczne jedzenie i sympatia Marokańczyków gwarantują udany wypoczynek. Szczegółowo polecam!

Piotr Sikorski, Słupsk

Turystyczne (prawie) ostatki

Ani się obejrzeć, jak zapuka do drzwi jesień. Ta zaś zwiastuje pożegnanie z wakacyjnym dolce far niente (słodkim nicnieróbstwem wg znanego przysłowia Włochów). Czy całkowicie?

Szef regionu PTTK Janusz Grabowski odpowiada: - Kalendarz słupskich petetekowców kończy się dopiero... w grudniu. Imprez mniej może częstych i atrakcyjnych, ale jednak zasługujących na zarekomendowanie Czytelnikom.

Spełniamy więc jego sugestie. Bardzo skrótowno i, z konieczności, wybiórczo.

Wrzesień

7 Gardna Wielka: jubileuszowe, 50. regaty żeglarskie o Puchar Jeziora Gardno; pod patronatem Jachtklubu PTTK „Orion” w Słupsku.

14 Korzybie, gm. Kępice: wspólne grzybobranie członków i sympatyków Klubu Turystów Pieszych „Mikołajek”.

20-21 wielki spływ rzeką Drawą; pioletaż? Klub Turystyki Kajakowej „Kapak”.

27 Damno: II rajd pieszo-rowerowy pn. „Szlakiem ciekawych zakątków gminy Damnica”; organizator - damnieński Szkolny Klub Krajoznawczo-Turystyczny „Wędruś”.

Październik

3 Zespół Szkół w Damnie gm. Damnica: wojewódzkie eliminacje Ogólnopolskiego Konkursu Krasomówczego Dzieci i Młodzieży Szkolnej (gimnazjalistów) ph. „Osobliwości mojego regionu”; współorganizatorzy: Oddział PTTK i Słupskie Starostwo.

4 Słupsk: wycieczka Klubu Turystyki Kolarzkiej „Jantar” poprzez Park Krajoznawczy „Dolina Słupi”.



1 rajd pieszy ze Słupska „w nieznane” - po Dolinę Wieprzy i Studnicy; patron? Klub „Mikołajek”.

11-12 XVI rajd pieszo-rowerowy na trasie Lębork-Bożepole-Lębork, organizowany przez tamtejsze Koło Turystyki Kwalifikowanej „Kahel” i Koło Przewodników Terenowych PTTK.

20-31 (bliższy termin do ustalenia): autokarowa przejażdżka „W poszukiwaniu grodzisk gminy Główczyce”; inicjator - tutejsze Koło Przewodników Terenowych.

20-31 (szczegółowy termin na razie nie ustalony): wędrowka autokarem po ziemi słupskiej z inicjatywy Regionalnej Komisji Ochrony Przyrody i Krajoznawstwa OR PTTK.

Turystyczne ostatki

15 listopada: XXVIII rajd nocny „per pedes” z centrum Słupska do Lasu - nomen omen - Północnego; gospodarz imprezy ten sam, co w dzień św. Mikołaja przy wizycie w Lasku Południowym (OR PTTK).

29 listopada: VIII Andrzejkowe harce członków - i nie tylko - SKKT „Twardziele” ze sławieńskiego Ośrodka Szkolno-Wychowawczego.

Szczegóły, zapisy oraz ewentualne przedpłaty (jak tradycja każe, zgoła symboliczne!) - w biurze Towarzystwa u Angeliki Zyskowskiej (ul. Szarych Szeregów 1, tel. 59 842 50 12 bądź 59 842 29 02, e-mail: poczta@słupsk.pttk.pl). **(jel)**

Spełnia się marzenie twórcy legendarnej grupy muzycznej

W 5-6 numerze „Powiatu Słupskiego” zamieściliśmy artykuł Jerzego R. Lissowskiego pt. „W oczekiwaniu na benefis muzykujących dinozaurów i ich lidera”. Dziś już wiemy, że spełni się marzenie Romana Pawlaczyka

Fot. Archiwum pryw. RP



Pod koniec wspomnień czerpanych z długiej i niezwykle ciekawej historii „Pikusiów” zanotował redakcyjny kolega: „O czym marzy dziś Roman Pawlaczyk, lider legendarnej grupy ST-44? O galowym doprawdy koncercie 45-lecia. Jak drzewiej (1988 - 1989). Wizyty w Słupsku już teraz deklarują „Australijczyk” Piotr Rybicki i „Kanadyjczyk” Michał Wojtczak. Spodziewa się również Jacka Mazurkiewicza z Finlandii, Wita Mroczyńskiego-Rosnera z Niemiec, Grażyny Auguścik z USA i innych „bratnich

łanej edycji „PS” (!) prezydent Maciej Kobylński zaakceptował wniosek dyrektor Młodzieżowego Centrum Kultury w Słupsku Anny Maćkowiak i objął swoim patronatem benefis twórcy, a później szefa „Pikusiów”. Uroczystość planowana jest na 30 października br. w sali widowiskowej teatru Rondo.

Z satysfakcją informujemy Czytelników, że przy naszym współudziale jako tzw. patronów medialnych. Będzie - zapewniamy - dużo i obszernie! (red.)

Jak oceniam pracę urzędu?

W trosce o stałe podnoszenie jakości pracy Starostwa Powiatowego w Słupsku w kolejnych wydaniach „Powiatu Słupskiego” drukujemy ankietę na temat pracy urzędu i zadowolenia mieszkańców powiatu z jego usług. Zachęcamy do wypełnienia poniższej anonimowej ankiety. Wśród osób, które ją nadesłały i wypełniły oddzielnie, dołączony do niej kupon, rozlosujemy rzeczowe upominki. Wszystkie spostrzeżenia, opinie, uwagi i wnioski zostaną przeanalizowane i posłużą do dalszego doskonalenia jakości pracy starostwa i usług publicznych oferowanych mieszkańcom powiatu.

Wypełnione ankiety i oddzielnie kupony do losowania upominków można składać do oznaczonych napisami: „ANKIETA” i „KUPONY” skrzynek w budynku Starostwa Powiatowego lub przesać drogą pocztową na adres: **Starostwo Powiatowe, 76-200 Słupsk, ul. Szarych Szeregów 14**. Ankietę można też wypełnić na stronie internetowej: **www.powiat.slupsk.pl**

ANKIETA OCENY USŁUG ŚWIADCZONYCH PRZEZ STAROSTWO POWIATOWE W SŁUPSKU

1. Kiedy ostatnio załatwiał/a/ Pani/Pan sprawę w Starostwie Powiatowym w Słupsku?
2. Jak ocenia Pani/Pan sposób załatwienia sprawy, kompetencje urzędników itp.?
3. Jak ocenia Pan/Pani ogólnie poziom usług świadczonych przez starostwo?
4. Czy uważa Pani/Pan, że Starostwo Powiatowe jest instytucją przyjazną mieszkańcom powiatu słupskiego?
5. Co według Pani/Pana należałoby zmienić w funkcjonowaniu pracy starostwa?
6. Czy poruszanie się po budynku starostwa sprawiło Pani/Panu jakiegokolwiek trudności? Jeśli tak, to jakie?

Proszę odciąć kupon i przesać lub przekazać w oddzielnie zaklejonej kopercie

KUPON UPRAWNIAJĄCY DO WZIĘCIA UDZIAŁU W LOSOWANIU UPOMINKU - NIESPODZIANKI W ZWIĄZKU Z WYRAŻENIEM OPINIÍ NA TEMAT PRACY STAROSTWA POWIATOWEGO W SŁUPSKU

Imię i Nazwisko

Adres, na który należy przesać upominek

Wyrażam zgodę na wykorzystanie moich danych osobowych w celach związanych z losowaniem upominku.

(Data i podpis wypełniającego kupon)



Fot. Archiwum Autora

Moje urodziny w historii żeglugi

Z dniem moich urodzin (20 września) związane są wcale liczne (w tym i sławne) wydarzenia w historii żeglugi. Oto opowieść o kilku z nich

Chyba najdonioślejszym ze wspomnianych wydarzeń był początek pierwszej w znanych dziejach nowożytnej żeglugi, opisanej (przez Włocha Antonia Pigafettę) podróży morskiej dookoła świata. W ten rejs, de facto na złamanie karku i zatracenie - wypłynęła flotylla pięciu statków pod dowództwem Ferdynanda Magellana, Portugalczyka w służbie hiszpańskiej. Jednostki oddały cumy i podniosły kotwice w Sanlúcar de Barrameda 20 września 1519 roku. Poszczególne statki handlowo-naukowej ekspedycji na drugą stronę globu nazywały się: „Concepcion” (Poczęcie), „San Antonio” (Św. Antoni), „Santiago” (Św. Jakub), „Trinidad” (Trójca, okręt flagowy) i „Victoria” (Zwycięstwo), a cała obsada flotylli liczyła, wg różnych źródeł, od 265 do 269 osób. Choć źródła różnie podają datę rozpoczęcia tego rejsu, ja ze zrozumiałych względów obstaję przy swoim...

Szóstego września 1522 roku do wspomnianego już Sanlúcar de Barrameda wpłynął sterany kilkoma latami ciężkiej żeglugi statek „Victoria”, na którym do ojczyzny powróciło osiemnastu ludzi pod wodzą Juana Sebastiana Elcano. Tak to znamienita wyprawa flotylli Fernao de Magalhaesa dobiegła końca. Magellan, który wyprawę nie przeżył, ostatecznie - niejako zza grobu - dowiódł ówczesnemu światu kulistości Ziemi. Niemale koszty całej imprezy pokrył z nawiązką drogocenny wówczas ładunek

tzw. „korzeni”, przywieziony z daleka przez jedną tylko, malutką „Victorię”...

Najciekawszym z wodowanych dwudziestego września „pasażerów” była niewątpliwie „Mauretania” Cunarda - czteroskokowy „chart” Atlantyku o potężnym, turbinowym napędzie. Statek ten, którego pojemność brutto sięgała trzydziestu dwóch tysięcy ton rejestrowych, przez dwadzieścia dwa lata niepodzielnie panował na Starym Szlaku, gdy chodziło o średnią prędkość transatlantyckiej podróży między Starym i Nowym Światem. Z oczywistych względów sławny turbinowiec nie dał się napuszonemu, acz pechowemu „Titanicowi” - ten ostatni, by móc choćby pomarzyć o rzuceniu „Mauretanii” rękawicy, musiałby dostać dwakroć mocniejszy od zainstalowanego napęd! Ciekawostkę stanowi fakt, iż w okresie panowania niemal 27-węzłowej „Mauretanii” na Atlantyku miejsce na drugim stopniu podium zajmował statek również zwodowany dwudziestego września! Była to druga, z górą 23.000-tonowa „France” spod znaku CGT, francuski czteroskokowy „rodzynek” zbudowany w 1910 roku w St. Nazaire i rozwijający podróżną prędkość około 24 węzłów.

Dwudziestego września 1911 roku u Blohma i Vossa w Hamburgu zwodowano słynny czteromasztowy bark „Passat”, który nie tylko wyszedł swego czasu obronną ręką z wielu tarapatów, ale stoi w najlepsze do dziś w niemieckim Travemünde, w

każdej chwili gotów oddać cumy i wyruszyć choćby na australijski szlak zbożowy. Po drugiej stronie Atlantyku, w sławnym Muzeum Portu Morskiego przy South Street, stoi w najlepsze również starsza siostrzyca „Passata” - „Peking”.

Dokładnie w tym samym dniu u południowych wybrzeży Anglii przydarzyła się dość zagadkowa kolizja. Oto wychodzący z Southampton w swoją piątą podróż do Nowego Jorku transatlantyk „Olympic” - starszy i mniejszy brat wspomnianego „Titanica” - został w nie do końca wyjaśnionych okolicznościach staranowany i nieznacznie uszkodzony przez HMS „Hawke”, spory krążownik pancerny RN. Prawne przepychanki między armatorem niezawodnego czteroskokowca a Admiralicją Brytyjską ciągnęły się potem miesiącami. Okręt wojenny zginął w toku działań pierwszej wojny światowej, za to transatlantyk uratował honor pewnej dość niewydarzonej trójki wielkich „pasażerów” rodem z Belfastu. Jego szczęśliwa służba potrwała aż ćwierć wieku!

Dwudziestego września 1939 roku wszedł do służby drugi z trzech ciężkich krążowników, jakie służyły podczas ostatniej wojny pod znakami Trzeciej Rzeszy. Imię słynnego marszałka Blüchera, jakie otrzymał w dniu wodowania, nie przyniosło mu bynajmniej szczęścia - nie przesłużył nawet pełnych dwunastu miesięcy, tonąc w dziwnym dniu kwietnia 1940 roku podczas zbójczej wyprawy wojsk Rzeszy Hitlera na neutralną Norwegię. Jak gdyby tego było mało, w tydzień po swoim okrucieństwie zginął w katastrofie lotniczej (!) ostatni dowódca drugiego „Blüchera”, kmdr Woldag. Co ciekawe, podczas pierwszej wojny światowej zatonał także poprzedni „Blücher” - krążownik pancerny marynarki wojennej Wilhelma II. Zdjęcia owego „Blüchera”, powracającego się na burtę w styczniu 1915 roku, obiegły przed laty łamy prasy całego świata, podobnie, jak słynny film, nakręcony prawie dwadzieścia lat później i przedstawiający straszliwą eksplozję amunicji na tonącym pancerniku „Barham”. Nadawanie okrętom nazw jednostek zatopionych, nawet tych najsławniejszych, czasem przynosi pecha...

Dwudziestego września 1967 roku spłynęła na wodę także „Queen Elizabeth 2”, ostatnia z trzech wrześniowych „Królowych” Cunarda i ostatni klasyczny transatlantyk świata. O ile jednak pierwsza „Mary” i pierwsza „Elizabeth” były ode mnie odpowiednio o ok. dwadzieścia dwóch i osiemnastu lat starsze, o tyle „Druga Ela” jest dokładnie o jedenaście lat młodsza. Podobnie jak dwie sławne antenatki - tak i druga „Ela” ma za sobą rozdział służby wojennej, o ile jednak obie Starsze Damy pospołu skróciły o cały rok najkrwawszą chyba ze znanych wojen, o tyle ich młodsza krewniaczka wzięła udział w operetkowej bijatyce o Falklandy w pierwszej połowie 1982 roku.

Wojciech M. Wachniewski, Słupsk

SŁUPSKI KOLEKCJONER



DODATEK SPECJALNY DO „POWIATU SŁUPSKIEGO” NR 2(13)/2014

Pieniądz na trudne czasy

Pieniądz zastępczy, a właściwie bony zastępcze stanowiły substytut właściwego pieniądza emitowanego przez upoważnione do tego instytucje państwowe. Był on rodzajem obligacji, do których wykupienia, często we wskazanym czasie, zobowiązywał się ich emitent.

Wydawcami bonów były nie tylko samorządy (powiaty i gminy), ale również instytucje i firmy, na przykład banki, huty, hotele, koleje itp. Pieniądz zastępczy w długiej historii swego istnienia przybierał różną for-

bez znaczenia był fakt „ewakuacji” zapasów pieniężnych w obawie przed ich zajęciem przez zbliżające się wojska okupanta oraz odcięcie linii frontu terenów okupowanych od banku centralnego, będącego dostawcą

środków płatniczych. Jedną z przyczyn, w okresie występującej hiperinflacji, był brak możliwości nadążenia z drukiem i dystrybucją środków pieniądza w ślad za potrzebami rynku.

L i c z - ne bony zastępcze, już w okresie ich emisji, stały

się przedmiotem pożądania kolekcjonerów. Zainteresowanie to było bezpośrednią przyczyną licznych wydań tzw. bonów seryjnych. Emisje te skierowane były wprost do kolekcjonerów. Drukowano je w seriach obejmujących kilka sztuk o różnych nominałach. Ich grafika zawierała elementy historii czy też tradycji danego miasta. Bony seryjne wydrukowało wiele miast niemieckich, np. Bytów, Koszalin, Płoty, Białogard, Piła. Wśród nich był również ówczesny Słupsk [Stolp], który w 1922 roku wyemitował trzy serie, po pięć bonów różnej wartości (50 Pf, 75 Pf, 1 Mk, 1,5 Mk, 2 Mk), nawiązujące do historii miasta oraz związanych z nim znanych osób. Na awersie bonów serii pierwszej znajdujemy między innymi charakterystyczny herb Słupska z czerwonym gryfem oraz zapisaną słownie wartość waloru. Na rewersach trzech bonów o najniższych nominałach widoczne są istniejące do dziś zabytki: Nowa Brama, kościół św. Mikołaja, w którym obecnie znajduje się Miejska Biblioteka

Publiczna oraz B r a m a Młyńska.

Nadwóch bonach uwiarygodniono natomiast postacie historyczne związane z miastem. Wizerunek Henricha von Stephana znajdziemy na bonie o nominale 1,50 Mk. Urodził się on 7 stycznia 1831 roku w Słupsku, był wybitnym pruskim urzędnikiem państwowym, zajmującym się głównie pocztą. Pełnił między innymi funkcję generalnego poczmistrza Cesarstwa Niemieckiego (1876), w 1874 roku był jednym z założycieli Światowej Unii Poczto-

wej. Zmarł w Berlinie 8 stycznia 1897 roku.

Postać Gebharda Leberechta von Blüchera uwieczniona została na bonie 2 Mk. Ten z kolei urodził się 16 grudnia 1742 roku w Rostoku, jako feldmarszałek pruski i dowódca armii pruskiej w bitwie pod Waterloo, Kaczawą, Lipskiem, Budziszynem, Lutzen, Brienne-le-Chateau, Craonne, Laon, a także kampanii sześciomiesięcznej był jednym z najważniejszych pruskich dowódców



mę. Były to monety wykonane z metalu i ceramiką. Bardzo liczną część stanowiły bony papierowe. Pieniądz zastępczy obecny był w wielu krajach dwudziestowiecznej Europy. Szczególnie licznie występował w Niemczech, gdzie przybrał między innymi nazwę Notgeld lub Notgeldschein, co można przetłumaczyć jako „pieniądz na trudne czasy” lub „pieniądz na czas potrzeby” czy też „pieniądz na czas biedy”. Ze szczególnym natężeniem zastępczy pieniądz papierowy emitowany był w latach 1914 - 1923, tj. w okresie I wojny światowej oraz szalejącej inflacji w latach dwudziestych ubiegłego wieku.

Powodem emisji bonów oraz monet zastępczych był brak w obiegu pieniądza właściwego. Wynikał on z wielu przyczyn. Wśród nich wymienić można znikanie z obiegu w okresie walk monet zdawkowych, wykonanych z kruszcu niezbędnego do prowadzenia działań wojennych oraz wykonanych ze szlachetnego kruszcu (srebra i złota), które zatrzymywane były przez ludność. Nie

okresu wojen napoleońskich. W 1760 roku wstąpił do armii pruskiej, do elitarnego 8 Regimentu Huzarów Słupskich, którym dowodził od roku 1794. Był to późniejszy, słynny 5 Pomorski Regiment Huzarów, zwany od koloru kurtki Regimentem Czerwonych Huzarów. Zmarł 12 września 1819 roku.

Na rewersie bonu o nominale 1,50 Mk, oprócz postaci Henricha von Stephana widnieje zapis: „Wo kommen den all die Kaschuben her - Es gibt so viel wie Sand am Meer? Aus Stolp, aus Stolp, aus Stolp.” (Skąd pochodzą Ci wszyscy Kaszubi - Jest ich tak wielu, jak piasku nad morzem? Ze Słupska, ze Słupska, ze Słupska). Natomiast na rewersie bonu o nominale 2 Mk, obok postaci Blüchera znajdujemy tekst: „In harren und Krieg, in Kampf und Sieg bewusst und Gross. So riss er uns vom Feinde los” (Świadomi w oczekiwaniu wojny, walki, zwycięstwa i wielkiego ryzyka - uciekamy od wrogów).



Seria druga związana jest z huzarami stacjonującymi w przeszłości w Słupsku. Na awersie pokazany został szkielet z kosą, klepsydra oraz dewiza „VINCERE AVT MORI” (Zwyciężyć albo umrzeć) znajdujące się na odznace noszonej przez huzarów słupskich, na filcowych czapkach. Po obu stronach widoczne jest również oznaczenie wartości bonu. Na rewersach przedstawione zostały natomiast różne rodzaje umundurowania tej formacji: huzara Bellinga w czasach Fryderyka Wielkiego, huzara Blüchera na paradzie w 1810 roku, strzelca z 1821 i oficera na paradzie w 1843 oraz z 1866 roku.

Seria trzecia poświęcona została historii dowódcy huzarów - generałowi Blücherowi, którego postać uwieczniono na awersie. Na rewersach z kolei umieszczono sceny z jego życia: z roku 1760, kiedy stanął jako jeńiec armii szwedzkiej przed ówczesnym dowódcą huzarów słupskich - Vilhelmem von Bellingiem i zamiast do niewoli wstąpił do armii pruskiej, z bitwy pod Karzbach, przekroczenia Renu pod Laub, upadku Blüchera pod Ligną oraz marszu na Waterloo.

Słupskie bona seryjne drukowane były na dwóch rodzajach papieru - grubym kartonowym i szorstkim nie posiadającym

znaku wodnego oraz na cienkim, białym ze znakiem wodnym - literą „Z”. W odróżnieniu od wielu bonów „obiegowych”, słupskie bona seryjne nie posiadają podpisów oraz daty emisji. Wydrukowano je w drukarni Fleming-Wiskott Glogau (Głogów). Firma ta drukowała również bona dla wielu innych miast niemieckich, na przykład Białogardu, Bytowa, Nowogardu, Piły, Świnoujścia. Nazwa drukarni została umieszczona na dolnym marginesie awersu wszystkich bonów, w sposób odmienny dla poszczególnych serii: Seria I - „FLEMMING-WISKOTT A:G. GLOGAU.”, Seria II - „FLEMMING - WISKOTT - A.-G. - GLOGAU”, Seria III - „FLEMMING - WISKOTT - A. G. GLOGAU”.

Na dolnym marginesie rewersu wszystkich bonów widoczny jest nadruk o treści „D.R.G.M. 795679”. Oznaczenie to znalazło się również na bonach wielu innych miast

drukowanych przez drukarnię Fleming & Wiskott. Oznacza ono rejestrację w Niemieckim Urzędzie Patentowym w Berlinie wzorów bonów opracowanych przez drukarnię. Skrót literowy pochodzi od „Deutsches Reich Gebrauch-

smuster”. Rejestracja, która była zamiastką patentu, stanowiła zabezpieczenie przed liczną, w ówczesnym czasie, konkurencją. Na awersach i rewersach bonów serii trzeciej oraz rewersach bonów serii drugiej znajdujemy podpis: „W.H. Lippert” niemieckiego artysty i projektanta licznych bonów zastępczych - Williego Horsa Lipperta.

Bony seryjne, pomimo ich kolekcjonerskiego charakteru, prawdopodobnie dopuszczone były również do obiegu. Na awersie każdego z nich widnieje zapis, iż Miejska Kasa w Słupsku posiadaczowi tego czeku ze swojego majątku wypłaci kwotę na jaką opiewa bon. Na awersie większości bonów naniesiono literowe oznaczenie konta - serii oraz sześciocyfrową numerację. Wykonana była ona dwoma typami numeratora: Typ I: 7-daszek pofalowany, 4-otwarta, 2-podstawa pofalowana, Typ II: 7-daszek prosty, 4-zamknięta, 2-podstawa prosta. Pozostałe cyfry były jednakowe dla obu rodzajów czcionki.

Nie ma reguły, co do oznaczenia bonów poszczególnych serii, kont i wartości, numerem określonej czcionki. Znaleźć można przypadki gdy bona jednej serii o tej samej literze konta i numerze oznaczone

zostały przy wykorzystaniu obu rodzajów numeratora. Poszczególnym seriom bonów przypisano odmienne literowe oznaczenia kont. Na bonach serii pierwszej występują konta literowe: A, B, C; serii drugiej: D, E, F; serii trzeciej: G, H, J. Sporadycznie spotyka się bona serii trzeciej oznaczone literą F przypisaną w zasadzie serii drugiej. Przypuszczać można, że bona te powstały przez pomyłkę w druku. Potwierdza to wysoka ich numeracja.

Na papierze białym, cienkim, ze wzorem wodnym drukowano wyłącznie bona o oznaczonych kontach literami C, F oraz J. Przeglądając się dokładnie bonom można dostrzec pewną prawidłowość związaną z ich oznaczeniem. Numery „pierwszych” liter poszczególnych serii (A, D, G) mieszczą się w przedziale od 000001 do 099999. Bona „drugich” liter serii (B, E, H) posiadają numerację od 100000 do 199999. Natomiast „trzecich” (C, F, J) - od 200000 do około 311600. Emitowano również bona nieposiadające literowego oznaczenia konta oraz numeru. Bona te drukowane były na obu rodzajach papieru.

Wspomnieć należy, że na awersie tysiąca kompletów każdej serii, przypuszczalnie za zgodą miasta, naniesiono nadruk „Kaffehaus Reinhardt” i „Reinhardt Diele” - nazwę ówczesnie istniejącej w Słupsku znanej restauracji. W czasach powojennych w jej miejscu funkcjonowała restauracja „Metro”. Bona te prawdopodobnie jako reklama dołączane były do rachunku. W serii pierwszej nadruki umieszczono na bonach serii A o numeracji „099XXX” nad oznaczeniem konta i numeru. Na bonach serii drugiej i trzeciej nadruki umieszczono na bonach nie posiadających oznaczenia konta i numeru. Znaleźć można wyłącznie bona ze wspomnianym nadrukiem wykonane na papierze kartonowym.

Podczas druku bonów zastępczych producent wnikliwie sprawdzał ich jakość, nie dopuszczając aby do obiegu trafiały wadliwe egzemplarze. Pomimo tego znaleźliśmy wiele bonów posiadających wady druku. Wśród nich znaleźć można bon serii II o nominale 1,50 Mk, który na awersie posiada napis: „Der Janze Tod” zamiast „Der Ganze Tod”. Znaleźć można również bona tej serii o jasnoniebieskim kolorze tła, zarówno na awersie, jak i rewersie, zamiast szarego oraz walory ze smugami rozmazanej niebieskiej farby na rewersie. W serii trzeciej zdarzają się bona o jasnofioletowych nadrukach na rewersie zamiast ciemnofioletowych. Bardzo rzadko spotyka się Notgeldy wycięte z arkuszy, w nieprawidłowy, przesunięty sposób. Wraz z bonami wydrukowane zostały koperty. Dla każdej serii innego koloru. Koperta serii pierwszej „Widoki miasta Słupsk” była barwy niebieskiej, serii drugiej „Mundury słupskich huzarów Blüchera” - brązowej, serii trzeciej „Epizody z życia Blüchera” - koloru zielonego.

Jacek Partyka, Słupsk

Medale Akademii Pomorskiej w Słupsku

W książce „Medale słupskie” Władysława Piotrowicza i mojej z 2006 roku, zamieszczonych zostało pięć medali, w tym jeden na desce, które nawiązują do historii słupskiej wyższej uczelni

W tej informacji chciałbym omówić wszystkie medale, jakie zostały wyemitowane do tej pory przez Akademię Pomorską w Słupsku. Uczelnia ta powstała w 1969 roku na podstawie rozporządzenia Rady Ministrów (Dz. U. Nr 18 poz.134) jako Wyższa Szkoła Nauczycielska w Słupsku na bazie Studium Nauczycielskiego, istniejącego od 1957 roku. Pierwszym jej rektorem był prof. zw. dr hab. Bogusław Drewniak. Potem nazwa uczelni była kilkakrotnie zmieniana, co podyktowane było wymogami formalnymi i poszerzaniem oferty edukacyjnej. W latach 1974 - 2000 była to już Wyższa Szkoła Pedagogiczna, a w latach 2000 - 2006 - Pomorska Akademia Pedagogiczna. Nazwę obecną - Akademia Pomorska uczelnia przyjęła w 2006 roku. Od 2008 rektorem jej jest prof. dr hab. Roman Drozd. Tworzą ją trzy wydziały: Filologiczno-Historyczny, Matematyczno-Przyrodniczy i Edukacyjno-Filozoficzny.

Pierwszy medal poświęcony słupskiej uczelni został wyemitowany w 1969 roku z okazji powstania Wyższej Szkoły Nauczycielskiej. Miał średnicę 60 mm i wybiła go Mennica Państwowa w Warszawie, w nakładzie 300 sztuk. Wykonany został z tombaku patynowanego. Zaprojektował go i wykonał Tadeusz Mrozowski. Na zamkniętym otoku umieszczono napis: „INAUGURACJA 1969 R”. Na rewersie, na fakturowym tle jest bok leżącej książki i napis: „WSN”. W dole, półkolistym napis: „SŁUPSK”.

Kolejny medal został wybit w Mennicy Państwowej w Warszawie, w 1974 roku w związku ze zmianą nazwy uczelni na Wyższą Szkołę Pedagogiczną. Na awersie medalu znajduje się stylizowany herb Słupska, po prawej stronie, w górze jest data: „1974”, niżej napis: „INAUGURACJA/WSP”. Na rewersie, na tle otwartej książki umieszczono duże litery: „WSP”, niżej płonący kaganek z napisem: „W SŁUPSKU”. Medal ten wykonano też z tombaku patynowanego, o średnicy 70 milimetrów i w ilości 300 sztuk. Zaprojektował go Mirosław Jaruga, a wykonała Stanisława Wątróbska.

Z okazji dziesiątej rocznicy powołania Wyższej Szkoły Pedagogicznej, w 1979 roku wyemitowano pamiątkowy medal, który zaprojektowała Irena Zahorska, a wzór wykonał Stanisław Gołębiowski. Na awersie umieszczono daty: „1969/1979”. W zewnętrznym otoku jest napis: „WYŻSZA SZKOŁA PEDAGOGICZNA W SŁUPSKU”. Na rewersie przedstawiono stylizowany herb

Słupska. W wydzielonym zewnętrznym otoku umieszczono napis: „TAKIE BĘDĄ RZECZYPOSPOLITE * JAKIE ICH MŁODZIEŻY CHOWANIE”. Medal został wykonany w Mennicy Państwowej w Warszawie z tombaku patynowanego, jest tłoczony, ma średnicę 80 milimetrów i ukazał się również w ilości 300 sztuk.

W 2004 roku, kiedy uczelnia była Pomorską Akademią Pedagogiczną wyemitowano pamiątkowy medal z mosiądzu, tłoczony, o średnicy 56 mm i zaprojektowany przez Danutę Rosę. Na awersie, w środku wytłoczony jest zarys zabytkowego budynku uczelni, położonego przy ulicy Bohaterów Westerplatte. Poniżej znajduje się napis: „ZA ZASŁUGI / DLA UCZELNI”. W otoku umieszczono nazwę: „POMORSKA AKADEMIA PEDAGOGICZNA W SŁUPSKU”. Na odwrotnej stronie medalu wytłoczony jest emblemat przedstawiający półgryfa oraz umieszczona jest wstęga z napisem: „Dubium scientiae initium”. Medal ten wykonano w ilości 60 sztuk (30 wręczano w etui, a 30 na desce).

Kolejne medale, wyemitowane również przez władze uczelni, związane są z Akademią Pomorską. Ich projektantką była wspomniana już Danuta Rosa. Zgodnie z regulaminem przyznawania wyróżnień honorowych z 29 lutego 2012 roku, wyróżnieniami uczelni są: medal „Za zasługi dla uczelni”, medal „Za długoletnią pracę” i odznaka „Za zasługi dla uczelni”. Dwa pierwsze nadawane są na podstawie wniosku kapituły, natomiast odznakę przyznaje rektor. Medal „Za zasługi dla uczelni” może być przyznany pracownikowi lub byłemu pracownikowi za wybitne osiągnięcia oraz legitymującemu się dziesięcioletnim okresem zatrudnienia. Na awersie tego medalu, w środku wytłoczony jest zarys zabytkowego budynku, położonego przy ulicy Bohaterów Westerplatte. Poniżej znajduje się napis: „ZA ZASŁUGI / DLA UCZELNI”. W otoku umieszczono nazwę: „AKADEMIA POMORSKA W SŁUPSKU”. Na odwrotnej stronie medalu (na rewersie) wytłoczony jest emblemat przedstawiający półgryfa w kolorze czerwonym, w dolnej części są fale w kolorze niebieskim, symbolizujące ramiona rzeki Słupi oraz wstęga z napisem: „Dubium scientiae initium”. Medal wykonano z mosiądzu, jest tłoczony, patynowany, ma średnicę 56 milimetrów.

Medal „Za długoletnią pracę” może być przyznany pracownikowi lub byłemu

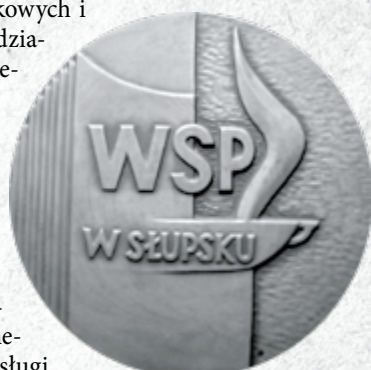
pracownikowi za wzorowe i sumienne wykonywanie obowiązków zawodowych. Podzielono go na trzy klasy: złoty, srebrny i brązowy. Złoty nadawany jest po 30 latach pracy zawodowej, srebrny po 25 latach, a brązowy po 20 latach. Wszystkie trzy mają wspólny awers i rewers,

różnią się tylko kolorem. Natomiast w porównaniu z wcześniejszymi medalami Akademii Pomorskiej różnią się awersem. Jest na nim, w środku wytłoczony zarys zabytkowego budynku uczelni, położonego przy ulicy Bohaterów Westerplatte. Poniżej znajduje się napis: „ZA DŁUGOLETNIĄ / PRACĘ”, w otoku jest nazwa: „AKADEMIA POMORSKA W SŁUPSKU”.

Odznaka „Za zasługi dla uczelni” może być nadana osobie nie będącej pracownikiem uczelni, która przyczyniła się dla jej dobra poprzez wsparcie w pomnażaniu mienia, w naukowych i kulturalnych działaniach, sławienie dobrego imienia oraz promowanie uczelni w kraju i poza jego granicami. Stanowi ona powtórzenie awersu medalu „Za zasługi dla uczelni”. Jest jednostronna, tłoczona, osadzona w centrum stylizowanej tarczy heraldycznej, wykonanej z drewna. Powyżej, na tarczy jest mosiężna plakietka z nadrukiem: „Rektor Akademii Pomorskiej w Słupsku”.

Wszystkie medale wykonane zostały w PHU „Celestan” Stanisława Śliwy w Gdyni-Kosakowie.

Jan Radkowski, Słupsk



Nowy medal słupskiego Ośrodka Szkolno-Wychowawczego

W listopada ub. roku Specjalny Ośrodek Szkolno-Wychowawczy w Słupsku obchodził jubileusz 55-lecia powstania. Zaproszeni goście otrzymali pamiątkowy medal

Początki powstania ośrodka sięgają 1958 roku, kiedy to w oficynie Szkoły Podstawowej nr 3 zapewniono naukę i opiekę czterdziestu trzem uczniom. W 1967 roku, za zgodą ówczesnego Ministerstwa Oświaty i Szkolnictwa Wyższego, powołano do życia Zasadniczą Szkołę Zawodową przy Wielobranżowej Spółdzielni Inwalidów. Następnie, w 1970 roku powstał Ośrodek Szkolno-Wychowawczy ze szkołą podstawową, szkołą zawodową i internatem. W 1991 roku ośrodek wprowadził się do nowego obiektu i dzięki wsparciu Ośrodka ds. Zatrudnienia i Rehabilitacji Osób Niepełnosprawnych w znacznym stopniu go zmodernizowano. Obecnie liczy 330 uczniów, którymi opiekuje się 112 pedagogów.

Podczas uroczystości dyrektor Krzysztof Serafin - wręczył statuetkę „Sursum Corda” Danucie i Leszkowi Haratykom,



Fot. Archiwum www.soswslupsk.pl

prowadzącym Sanatorium „Panorama Morska” w Jarosławcu, w którym dzieci z ośrodka odbywają turnusy rehabilitacyjne. Pozostali

goście otrzymali pamiątkowe medale wykonane z okazji 55-lecia - jednostronne, z mosiądzu, patynowane, tłoczone, o średnicy 60 milimetrów. Medale te zaprojektował słupski artysta Edward Iwański. Na ich awersie umieszczono logo UNICEEF, poniżej dwie gałązki laurowe. Po bokach rozmieszczone są daty: „1958/2013”. W dole, w półotoku umieszczono napis: „OŚRODEK SZKOLNO-WYCHOWAWCZY IM. UNICEF W SŁUPSKU”. W górze, na wydzielonej gładkiej powierzchni, poziomo jest napis: „55 LAT”, poniżej napis: „SURSUM CORDA” (w górę serca).

Medal wykonano w ilości 48 sztuk w Polskim Centrum Metaloplastyki „Barossa” w Halinowie. To już trzeci medal wyemitowany przez słupski Ośrodek Szkolno-Wychowawczy.

Jan Radkowski, Słupsk

Wystawa z okazji kanonizacji Jana Pawła II w Słupsku

Dla upamiętnienia kanonizacji Jana Pawła II w Słupsku, członkowie Oddziału Słupskiego Polskiego Towarzystwa Numizmatycznego: Marcin Zawislak, Henryk Błaszkievicz i Jan Radkowski, razem z pracownikami Miejskiej Biblioteki Publicznej w Słupsku przygotowali wystawę pt. „Święty Jan Paweł II - honorowy obywatel miasta Słupska”.



Fot. Archiwum Autora

Wystawę można było oglądać w dniach 14-30 kwietnia br. w Miejskiej Bibliotece Publicznej. Ekspozycja zawierała między innymi medale, monety (w szczególności przebitki) i banknoty z wizerunkiem Jana Pawła II, pamiątki związane z jego postacią, fotografie z pobytu mieszkańców Słupska w Watykanie i pielgrzymek do Polski. Honorowy patronat nad wystawą objął prezydent Słupska Maciej Kobyliński.

Wystawa cieszyła się dużym zainteresowaniem, czego odzwierciedleniem były

przychylnie artykuły w prasie i informacje w telewizji lokalnej. Słupską wystawę obejrżeli koledzy z Oddziału Koszalińskiego PTN oraz Koła PTN w Lęborku. Dla najmłodszych była ona znakomitą lekcją historii związanej z Janem Pawłem II.

Dzięki Marcinowi Zawislakowi Oddział Słupski PTN wspólnie z Urzędem Miasta w Słupsku wydał numizmat z Błogosławionym Janem Pawłem II. Numizmat o średnicy 32 mm wykonano w nowym srebrze, oksydowanym, w mosiądzu patynowanym oraz w aluminium z certyfikatami. Był on pamiątką z okazji

kanonizacji polskiego papieża Jana Pawła II oraz obchodów związanych z tym wydarzeniem na ziemi słupskiej.

Jan Radkowski, Słupsk



Fot. Archiwum Autora

INSCENIZACJA POWSTANIA WARSZAWSKIEGO

SŁUPSK, SIERPIEŃ 2014



Zdjęcia: J. Maziejuk

